[illegible]TKI

I

WIERSZYKI

DLA

DOBRYCH DZIECI I ICH PRZYJACIÓŁ.

Zebrał i spisał

Tworzymir z Wielkopolski.

Część II.

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1 8 6 6.

POWIASTKI

I

WIERSZYKI

DLA

DOBRYCH DZIECI I ICH PRZYJACIÓŁ.

Zebrał i spisał

Tworzymir z Wielkopolski.

Część II.

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1 8 6 6.

Spis artykułów:

Strona:

O dziecku, które napisało list do Boga.

Prawdziwe zdarzenie.

W kraju francuskim, który leży od nas na zachód, jest wielkie miasto Paryż. W mieście tem żyje dość ludzi bogatych, ale też wielu biednych, bo gdzież nie ma na świecie biednych. Otóż żył tam przed niedawnym czasem ubogi wyrobnik z żoną i kilkorgiem dzieci. Był to człek poczciwy, bogobojny, a i żona taka. Więc i dzieci wychowywali w cnocie, uczyli je miłości Boga i bliźniego.

Przyszło raz na tę rodzinę nieszczęście, bo zachorował ojciec, zachorowała matka, a w domu nie było ani grosza na leki, nie było co jeść, tylko woda była do picia. Dzieci płakały, wołając chleba, a rodzice cierpieli wielkie boleści.

Najstarsza dziewczynka bardzo była smutna. Było to dobre dziecko. W domu słuchała rodziców, w szkole uczyła się dobrze. Zaczęła rozmyślać, jakby to rodzicom dopomodz. Słyszała od rodziców i nauczyciela, że Bóg wysłucha chętnie każdéj proźby. „A więc napiszę list do Pana Boga“, pomyślała, „i będę Go prosiła o pomoc dla mych rodziców, dla braciszków i siostrzyczek, a Bóg wysłucha méj proźby, bo Bóg jest dobrym.“

Siadła tedy dziewczynka i tak zaczęła pisać:

Kochany Boże!

Oto matka i ojciec są bardzo chorzy i nie mają co jeść. O dobry Panie Boże zmiłuj się nad mymi kochanymi rodzicami, i daj im zdrowie. Ale też moi bracia i siostry cierpią biedę, bo nie mamy ani kawałka chleba w domu, a i mnie też jeść chce się bardzo. O dobry Panie Boże, o nasz kochany Ojcze! nie dozwól, abyśmy umarli z głodu. Już ja będę zawsze dobrą i będę wypełniała Twe święte przykazania i całe życie będę cnotliwą, tylko się zmiłuj nad nami, bo tu na świecie nie mamy się do kogo udać. O ja mam nadzieję, kochany Panie Boże, że nas nie opuścisz.

Potem zapieczętowała dziewczynka ten list, a na wierzchu napisała: Do Pana Boga.

Z tym listem poszła do jednego kościoła, a zmówiwszy paciórek i pomodliwszy się szczerze, chciała ten list włożyć do skarbony przy drzwiach gdzie się kładą pieniądze. Ujrzała to pewna pani.

„Dziecię, co ty robisz?“ zapytała dziewczątka.

„Kładę list do Pana Boga?“ odpowiedziało dziewczę.

„Jakto list do Pana Boga, pokaż mi go?“

Dziewczynka pokazała, a pani rzekła: „Nie miej kłopotu, ten list będzie oddany, lecz tu go włożyć nie można, boby nie doszedł do Pana Boga.“

Zapytała potém o ulicę i dom, gdzie mieszkają rodzice, oraz o nazwiska tychże, a potem się oddaliła.

Dziewczynka wróciła do domu, pełna w sercu słodkiej nadziei. Kiedy jakoś po godzinie wyszła z izdebki, ujrzała przed drzwiami co dopiero przyniesiony kosz, a w nim pełno żywności, bielizny, a na

wierzchu pieniądze i kawałek papieru, na którym były te słowa: „To jest odpowiedź Pana Boga.“

Dziewczynka wbiegła do izdebki, uklękła i zawołała: „O dziękuję Ci Panie Boże, żeś mnie wysłuchał, a ja wiedziałam, że tak się stanie, boś ty jest dobrym Boże, i kochasz nas jak ojciec swe dzieci.“

Potem opowiedziała wszystko zdziwionym rodzicom, a ci rzewnie płakać zaczęli. Wkrótce przybył lekarz, zapisał chorym lekarstwo, a niedługo ojciec i matka wyzdrowieli.

Tak Bóg wysłuchał prośbę dobréj dziewczynki, a to takim sposobem, że natchnął serce dobréj pani, która ten list odebrała. O dzieci! w każdem nieszczęściu udawajcie się do Boga, a nie opuści was ten Ojciec Niebieski, jeżeli tylko będziecie dobremi, i o dobre rzeczy prosić będziecie. Ale i w szczęściu nie zapominajcie, miłe dziatki, o Bogu, lecz dziękujcie Mu za wszystko dobro, które macie od Niego. O Pan Bóg kocha bardzo, ale tylko dobre, grzeczne dzieci, które nie czynią nic złego, kochają Boga i ludzi, są posłuszne rodzicom i dobrze się uczą.

Wiersz o Bogu, którego się Jaś nauczył na pamięć.

W pewnéj szkółce tłumaczył dobry nauczyciel dzieciom przymioty Boga. „O dzieci kochane“, mówił on, onie myślcie, aby Bóg był srogim, surowym, nieubłaganym. O nie — Bóg jest dobrym, łaska-

wym, ludzi kocha bardziéj, niż ojciec dzieci, i zawsze o nas pamięta.“

Potem przeczytał nauczyciel dzieciom śliczny wiersz o Bogu z książki, téj treści, że pewien rzeźbiarz wyrobił piękny posąg z marmuru, wyobrażający Boga. Aby wyraził dobrze potęgę i wielkość Boga, więc twarz posągu była surową, a w obydwuch rękach trzymał gromy. Dziwili się ludzie nad tym posągiem, aż jedna dziecina rzekła: O ten posąg nie wyobraża tego Boga, do którego się modli moja matka, bo gdzież ta ręka, która nas błogosławi?“

„Tak, tak, kochane dzieci“, mówił nauczyciel, „nie z piorunami ale z błogosławieństwem w ręku wyobrażajmy sobie Boga, a więc kiedy jest Bóg tak dobrym do nas, to i my go kochajmy.

Spodobał się bardzo dzieciom ten wiersz, a Jaś prosił nauczyciela aby mu pożyczył téj książki, w któréj był wydrukowany, aby go się mógł nauczyć na pamięć. Zezwolił na to nauczyciel, a już na drugi dzień umiał Jaś dobrze ów wiersz na pamięć. Abyście i wy, kochane dziatki, tego wiersza się nauczyły na pamięć, więc wam go tu przytaczam:

Wielkiem się dziełem pewien rzeźbiarz wsławił:
Samego Boga wystawił.
Chciał Nim przerazić świat ten poziomy,
I by ten przestrach podwoił,
Wzrok Mu nasrożył i w straszne gromy
Obie Mu ręce uzbroił.
Trwożą się ludzie, zbliżyć nie śmieją,
Drżą i truchleją.
Straszą je zwłaszcza te piorunów pęki,
Z każdéj trzaskające ręki.

Kiedy wtem jakaś dziecina się jawi,
I woła, Bóstwem przerażona srogiem:
Nie, Bóg ten nie jest matki mojéj Bogiem,
Gdzież jest ta ręka, co nas błogosławi?

Niech wyżéj górne sięgają pojęcia,
Mym Bogiem jest Bóg dziecięcia.

Poczciwy chłopczyk.

Matka Jędrusia była bardzo chora, a przytem ubogą, tak że pospołu ze synkiem cierpiała niedostatek. Dobry chłopczyk myślał w jakiby sposób mógł dopomódz matce. Do roboty był za słaby i nic nie umiał. Nakoniec umyślił iść na ulicę i prosić przechodzących o wsparcie, aby za nie kupić czego matce.

Prosił chłopczyk ze łzami w oczach, ale nikt mu nic nie dał. Pewien pan, którego także chłopczyk prosił, rzekł: „Dałbym ci parę groszy mój chłopczyku, ale nie mam drobnych."

„To ja zmienię", rzekł Jędruś.

Dał mu więc pan talara, a Jędruś pobiegł do poblizkiego kramu, aby zmienić. Ale w kramie było wiele ludzi, więc musiał dosyć długo czekać, a gdy ludzie odeśli, wtedy prosił kupczyka, aby mu zmienił talara, ale kupczyk powiedział, że nie ma drobnych.

Pan czekał chwilkę na ulicy, ale ponieważ nie miał czasu, więc udał się w dalszą drogę, sądząc, że chłopczyk wziął talara i uciekł.

Kiedy więc Jędruś wyszedł na ulicę, to już nie zobaczył pana.

Wtem ozwie się głos w jego wnętrzu. „Ot teraz cały talar twoim, nie potrzebujesz go nikomu oddawać. Ach co to ładnych będziesz sobie mógł kupić rzeczy! Pan odszedł, nikt nie widzi, a więc talar moim.“

Ale wtem ozwie się w serduszku sumienie: „Jakto więc chcesz być złodziejem? Ludzie nie widzą wprawdzie, ale widzi Bóg. Czyto pięknie oszukać tego dobrego pana i tak mu złem za dobre odpłacić. A co powie na to matka.?“

„O nie, o nie!“ odezwał się głośno Jędruś, „nie wezmę tego talara, oddam go napowrót.“

Zaczął się tedy oglądać na wszystkie strony, jakoż na zakręcie ulicy spostrzegł tego pana, który mu dał talara. Co miał sił pobiegł ku niemu, i cały zadyszany oddał mu pieniądz, mówiąc: „Tam nie mieli drobnych, a więc oddaję talara.“

„Jakto?“ rzecze pan, „więc nie wziąłeś talara, kiedyś widział, że mnie nie było?“

„O panie!“ odrzecze chłopczyk, „jesteśmy prawda ja i matka biedni, ale nie złodzieje. Moja matka jest chora i uboga ale poczciwa — a ja naśladuję matkę.“

Pan zapytał, gdzie mieszka matka i jak się nazywa, a potem się oddalił, zaś Jędruś co miał sił popędził do domu, i płacząc opowiedział, co mu się przytrafiło. Uszczęśliwiona matka uścisnęła syna, mówiąc: „Tak, tak, moje dziecię, bądź zawsze poczciwym, a Bóg ci będzie błogosławił.“

Kiedy tak matka i Jędruś rozmawiają, wtem zapukał ktoś do chatki. Otworzył Jędruś, aż tu wchodzi ów pan, któremu oddał talara.

„Matko, matko!“ zawołał chłopiec, „to ten pan, co mi dał talara.“

„A któregoś oddał nazad“, rzekł pan. „Otóż przyszedłem, aby wam dopomódz. Masz tu Jędrusiu tego talara, a tu“ mówił kładąc na stole paczkę pieniędzy, „dla was, dobra kobieto, na doktora, aptekę i żywność. O tobie Jędrusiu nie zapomnę.“

Wypytywał się potem długo dobry pan matkę o chorobę, syna i inne rzeczy a potem odszedł.

Dotrzymał słowa, bo i nadal opiekował się matką i synem. Oddał Jędrusia do szkół, a potem w rzemiosło. Wyuczył się Jędruś stolarki, a gdy został czeladnikiem i wrócił z wędrówki, wtedy mu pan kupił warsztat. Po dziś dzień żyje stolarz Jędrzéj i nieraz swym dzieciom opowiada to zdarzenie z talarem, a dzieci naśladują ojca i są dobremi. Matka Jędrzeja też jeszcze żyje u syna, a cała rodzina przy każdym pacierzu modli się do Boga za dobroczyńcę.

Jaką nagrodę dostał Karólek za to, że umiał dobrze dzieje Polski?

Czytałyście, kochane dzieci, w pierwszéj części niniejszéj książeczki o szkółce w Dobrowie, jak tam chłopcy i dziewczęta umieli dobrze dzieje t. j. historyą Narodu Polskiego. Ale i we wsi Mazurowie też niezgorzéj znały dzieci szkólne dzieje Polski, a już mianowicie Karólek, syn ubogiéj wdowy. Chłopczyk ten uczył się dobrze, był posłusznym matce i nauczycielowi, czytał pilnie ładne książki, a co już

najbardziéj lubił to dzieje naszéj Ojczyzny. Znał też najlepiéj historyą Polski, tak że sam nauczyciel dziwił się pojętności i chęci chłopca.

Raz przyszedł pan téj wioski do szkoły i tak powiedział: „Właśnie tego roku upływa tysiąc lat jak się zaczęły w naszéj polskiéj ziemi krzewić początki chrześciańśtwa za sprawą śś. Cyryla i Metodego, i też tysiąc lat mija jak w Kruświcy został Piast, uczciwy rólnik i kołodziéj, obrany królem polskim. Na tę pamiątkę chcę jednego chłopca z tutejszéj szkółki oddać do gimnazyum, aby później, nabywszy oświaty, starał się być pożytecznym dla braci. Tego zaś oddam do szkół, który obok dobrego sprawowania się i pilności w naukach będzie znał najlepiéj dzieje Polski. A więc proszę pana nauczyciela zadawać dzieciom pytania w tym przedmiocie."

Jakóż nauczyciel zaczął stawiać dzieciom pytania, a odpowiadały różnie, źle i dobrze, ale co Karólek to najlepiéj. Nakoniec zapytał pan: „Któż mi powie na pamięć nazwiska królów polskich, jak po sobie następowali i jak długo panowali. Powstał Karólek i tak zaczął mówić.

Lech, miał przybyć do ziemi polskiéj około 550 r. Po nim nastąpił Wizymir, potem dwunastu wojewodów. Krakus. Wanda. Dwunastu wojewodów raz drugi. Przemysław złotnik czyli Leszek I. Leszek II. Leszek III. Popiel I i Popiel II. Dotąd były to dzieje bajeczne, mówił Karólek, z wstąpieniem na tron Piastów rozpoczynają się dzieje pewne.

Piast, rólnik w Kruświcy był obrany królem polskim około 863 r. Po nim nastąpił.

Ziemowit, który miał panować do 891 r.

Leszek IV, panował od 892 r. do 921 r.
Ziemowit, od 921 r., do 962.
Mieczysław I, panował od 962 r. do 992.
Bolesław Wielki, od 992 do 1025 r.
Mieczysław III, od 1025 do 1034.
Kazimierz I, Odnowiciel Polski od 1040 do 1058.
Bolesław Śmiały, od r. 1058 do 1081.
Władysław Herman, od 1081 do 1102.
Bolesław Krzywousty, od 1102 do 1139.
Władysław II, od 1139 do 1148.
Bolesław Kędzierzawy, od 1148 do 1174.
Mieczysław Stary, od 1174 do 1177 raz pierwszy.
Kazimierz Sprawiedliwy, od 1177 do 1194.
Leszek Biały, *Mieczysław Stary i Władysław Laskonogi* panowali na przemian od 1194 do 1207.
Leszek Biały, od 1207 do 1227.
Bolesław V Wstydliwy, od 1227 do 1279.
Leszek Czarny, od 1279 do 1289.
Przemysław, r. 1295, panował tylko kilka miesięcy.
Władysław Łokietek, raz pierwszy od 1296 do 1300.
Wacław, król czeski od 1300 do 1306.
Władysław Łokietek, raz drugi od 1306 do 1333.
Kazimierz Wielki, od 1333 do 1370.
Ludwik, król węgierski, panował w Polsce od 1370 do 1382.
Jadwiga, od 1384 do 1386.
Władysław Jagiełło, od 1386 do 1434.
Władysław Warneńczyk, od 1434 do 1444.
Kazimierz Jagiellończyk od 1444 do 1492.
Jan Olbracht, od 1492 do 1501.
Alexander, od 1501 do 1506.
Zygmunt I, od 1506 do 1548.
Zygmunt August, od 1548 do 1572.

Henryk Walezy, 1574 roku panował kilka miesięcy.
Stefany Batory, od 1575 do 1586.
Zygmunt III, od 1586 do 1632.
Władysław IV, od 1632 do 1648.
Jan Kazimierz, od 1648 do 1668.
Michał Wiśniowiecki, od 1668 do 1673.
Jan III Sobieski, od 1673 do 1696.
August II, od 1696 do 1733.
August III, od 1733 do 1763.
Stanisław Poniatowski, od 1764 do 1795.

Tylko parę razy się zmylił Karolek, ale wnet się za każdą razą poprawił. Mało podobno jest dzieci polskich w dziesiątym roku, któreby tak dobrze znały lata panowania i następstwo królów polskich.

Dla tego też pan Dzielnicki (tak się nazywał dziedzic wioski Mazurowa) pochwalił bardzo Karólka, tak mówiąc: „Ślicznie, bardzo ślicznie, mój kochany Karólku, że tak dobrze znasz dzieje naszego narodu, które każdy prawy Polak znać powinien. Ale powiedz mi, czy wiesz na ile okresów dzielą się dzieje Polski i czybyś ich nie mógł wymienić?"

Karolek. Dzieje Polski dzielą się na sześć okresów. Pierwszy zawiera dzieje bajeczne, niepewne i zaczyna się od r. 550 po narodzeniu Chrystusa aż do 965go. Okres drugi trwa od zaprowadzenia w Polsce chrześciaństwa, aż do podzielenia Polski przez Bolesława Krzywoustego t. j. od 965go roku, aż do 1139go. Polska w tym okresie zowie się podbijającą. Trzeci okres zawiera dzieje od podziału Polski aż do Kazimierza Wielkiego od 1139go aż do 1370 roku. Okres czwarty zaczyna się r. 1370go a kończy się 1586, t. j. od Kazimierza Wielkiego aż do Stefana Batorego. Polska w tym okresie zwie

się kwitnącą. Okres piąty od Stefana Batorego aż do upadku Polski, zwanéj w tym czasie upadającą, t. j od roku 1586 do 1795go. Okres szosty od upadku Polski do naszych czasów.

Pan Dzielnicki. Dobrze, ale powiedz mi, który ci się z królów polskich najwięcej podoba?

Karólek. Bolesław Wielki, zwany także Chrobrym.

Pan Dzielnicki. Czemu właśnie Bolesław Wielki?.

Karólek. Bo był to król kochający bardzo Polskę. Rozszerzył szeroko i daleko jéj granice, bronił od nieprzyjaciół, zaprowadzał oświatę, utwierdzał chrześciaństwo, nadawał mądre ustawy, kochał wielce lud wiejski. I naród polski wielce go miłował, kiedy rok po jego zgonie się smucił.

Pan Dzielnicki. Czy nie umiesz jakiego wiersza o którym królu polskim.

Karólek. Właśnie o Bolesławie umiem.

Pan Dzielnicki. Więc powiedz.

Gdy Karólek ukończył, wtedy tak się odezwał pan Dzielnicki: „Przekonałem się, o czem mi już i pan nauczyciel mówił, że Karólek dobrze się sprawuje i uczy, i że zna najlepiéj dzieje Polski. Więc też cię Karólku oddam do szkół.“ Karólek z płaczem dziękuje, całując pana Dzielnickiego w rękę.

Dotrzymał pan Dzielnicki słowa i oddał do szkół Karólka, a ten uczy się pilnie, gdyż wie, że nauka, oświata jest koniecznie każdemu Polakowi potrzebną. Chce też stać się godnym dobroci pana Dzielnickiego, oraz pragnie wstępować w ślady wielkich naszych przodków, których sławne czyny zna z dziejów. Jestem przekonany, że jeżeli Bóg zachowa Karólka przy życiu to będzie z niego światły Polak,

i chluba naszego narodu. Obyście kochane dzieci naśladowały Karólka.

Możeby które z dzieci chciało się nauczyć tego wiersza o Bolesławie Wielkim, który powiedział Karólek, a więc przytaczam tu ten wiersz piękny.

Bolesław Chrobry.

Śpiew historyczny przez J. U. Niemcewicza.

Ten co najpierwszy ujrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie,
Syt lat i chwały już Mieczysław stary
Legł w Piastów grobie.

Wychowan w dzielnych wojowników gronie,
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,
Koroną przodków okrył młode skronie
Bolesław Chrobry.

Ledwie jął rządzić, altć Czech zdradliwy
Puszcza hordy po Lecha krainie,
Zamienia grody i obfite niwy
W głuche pustynie.

Jak lew zraniony skrwawioną źrenicę
Tocząc się rzuca na zwierzę zuchwałe,
Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę
I państwo całe.

W dzielnym zawodzie chciwy dalszéj sławy,
Kiedy ukarał tego, co przewinił,
Miśnią Luzatów i żyzne Morawy
Swemi uczynił.

W ten czas Jarosław Ruś żyzną wydziera,
Już gnębi Kijów, okrutna przewaga,
Wygnan Świętopełk u nóg bohatera
Pomocy błaga.

Bolesław równie mężny jak wspaniały,
Zbiera rycerstwo i w szyki sprawuje,
Już się nad wojskiem wznosząc orzeł biały
Drogę wskazuje.

Pędzi, pytając gdzie nieprzyjaciele,
Widzi za Bugiem hufce ich skupione,
Rzuca się z koniem na rycerstwa czele
W nurty spienione.

Szabla Polaków tylekroć doznana
Na hardych karkach przeważnie ciężyła,
Poległy krocie, rzeka krwią wezbrana
Brzegi zbroczyła.

Już obległ Kijów, już baszty szerokie,
Tłuczę taranem, z kusz opoki ciska,
Padły świątynie i gmachy wysokie
W smutne zwaliska.

Wchodzi bohater w rozstąpione mury
Wśród radosnego w około żołnierza,
A miecz zwycięzki, podnosząc do góry
W bramę uderza.

Na pamięć gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec odnosili łupy,
Bije na Dnieprze i w Ossie i w Sali
Żelazne słupy.

Spoczął, a sławny dzieły tak świetnemi,
Przyjmując w Gnieźnie Ottona cesarza,
Dziwi przepychem i skarby drogiemi
Hojnie obdarza.

Był to król dobry, w boju tylko srogi,
Był sprawiedliwy i karał swywole;
Pod nim bezpiecznie i kmiotek ubogi
Orał swe pole.

Nie dziw, że kiedy poległ w ojców grobie,
Zdziaławszy tyle dla szczęścia i chwały,
Nieutulony i w ciężkiej żałobie
Płakał lud cały.

Gwiazdka.

Starożytny to w Polsce zwyczaj, iż w wigilią Bożego Narodzenia wieczorem, gdy gwiazdy zaświecą na niebie, dzieli się gospodarz opłatkiem z domownikami, a potem spożywają wszyscy spólnie wieczerzę, przy którój bywa zwykłe zastawionych dziewięć potraw. Po wieczerzy przychodzi tak zwany gwiazdor, który dzieciom, jeżeli dobrze pacierz umieją, przynosi różne zabawki, pierniki, cukierki, jabłka, orzechy, książki i t. d. To też dzieci już często rok naprzód cieszą się na Gwiazdkę. Ale biedne te dzieci, które albo wcale nie mają rodziców, albo też ubogich, którzy im nic sprawić nie mogą. Kiedy inne dzieci wesoło się bawią, to one płaczą, cierpiąc głód i zimno. Lecz pocieszcie się ubogie dziatki, jeżeli tylko jesteście dobremi, jeżeli kochacie Boga, i nie czynicie nic złego, to ten Ojciec Niebieski i nad wami się zmiłuje, tak jak się zmiłował nad ubogą wdową Katarzyną i jéj pięciorgiem dzieci. Opowiem wam, jak to poszło.

W maleńkiéj wiosce Smolnikach, mieszkała przed kilkudziesięciu laty Katarzyna, nieszczęśliwa wdowa, bo mąż jéj poległ w obronie Ojczyzny, a ją pozostawił bez utrzymania z pięciorgiem dziatek. Biedna wdowa nie rozpaczała, ale z pokorą przyjęła zrządzenie Opatrzności. Wszystkie starania zwróciła na to, aby dzieci używić i bogobojnie wychować. Od rychłego tedy rana do późnego wieczora pracowała Katarzyna, aby tylko odziać i nakarmić głodną dziatwę. Latem najmowała się do kopania, grabienia, wiązania snopków, wybierania ziemniaków, zimą

zaś przędła, prała, robiła płótno i co było do roboty. Gdy się cały dzień napracowała, wtedy nie kładła się na spoczynek, ale zajmowała się naprawą ubioru swych dzieci, praniem i t. d. To też w skutek jéj niezmordowanéj a podziwienia godnéj pilności dzieci były, zawsze choć ubogo, ale chędogo przybrane, i nie znały co głód.

Lecz starając się o ciało onych dziatek, nie zapominała o duchu. Najmłodsze dziatki uczyła paciórka, i już wcześnie zasiewała w ich młodociane serca nasiona cnoty. Czule upominała synów i córki, aby zawsze kochali Boga i brzydzili się grzechami. W niedzielę i święto chodziła do kościoła, a dzieci doroślejsze także iść musiały. Modliła się bardzo gorąco w świątyni Pańskiéj i pilnie zważała na każde słowo księdza, gdy miał kazanie. Przyszedłszy do domu kazała dzieciom powtórzyć treść słyszanego kazania, a przytem objaśniała trudniejsze miejsca. Zawczasu też przyzwyczajała dzieci do pracy.

Tak minęło lat kilka, dzieci już dorastały. Franuś, najstarszy z dzieci, liczył już lat trzynaście, Zosia, druga z kolei, była w dwunastym roku, Jaś skończył lat dziesięć, Marynia ośm, a Józefek był w siódmym roku.

Franuś był bardzo dobrym chłopczykiem, słuchał matki, uczył się dobrze i pracował ochoczo, a i inne dzieci wstępowały w jego ślady. Dobra matka cieszyła się niewymownie spoglądając na gromadkę dziatek, a widok ten wynagradzał hojnie jéj wszystkie zabiegi, krwawą pracę i niedospane noce.

Powodziło się lat kilka jako tako Katarzynie, ale oto spadły na nią i klęski. Nastała drożyzna, więc nie miała tyle co dawniej roboty, a więc i mniej za-

robku. Pierwszym skutkiem tego było, że nie mogła zapłacić komornego. Wiele miała do wycierpienia od nieludzkiego gospodarza, który nie pomny na przykazania Boże, rozkazujące kochać bliźniego, zabrał co lępsze sprzęty i wypędził Katarzynę z dziećmi, nie zważając, że zimno było na dworze. Katarzyna przyjęła z pokorą to nieszczęście, a bynajmniéj nie życzyła nic złego, nie przeklinała srogiego właściciela domu. Westchnąwszy do Boga zaczęła szukać pomocy. Ale nikt we wsi nie chciał przyjąć Katarzyny.

Uboga wdowa zalała się łzami. Spędziwszy noc w stodole o chłodzie i głodzie obudziła się z rozpaczą w sercu. A tu dzieci o chleb proszą i narzekają, że zimno. Słowa te jakby nożem przeszywały czułe serce Katarzyny. Już chciała wątpić o miłosierdziu boskiem, dzikie myśli snuć się w głowie poczęły, gdy w tem usłyszała dźwięk dzwonka, wzywającego na mszę świętą. Katarzyna była pobożna, postanowila więc udać się do kościoła i prosić Boga o pomoc. Jakoż poszła i zabrała dzieci z sobą. W kościele modliła się rzewnie, gorąco, i oto jakaś dziwna otucha wstąpiła w jéj serce, a jakiś głos wewnętrzny jéj mówił, aby się udała do poblizkiego miasteczka.

„Pójdę", rzekła sama do siebie nieszczęśliwa wdowa, „w tem mieście mieszka dobra pani, wspierająca chętnie biednych, może się i nademną i dziećmi mojemi zlituje."

Oddawszy dzieci pod dozór pewnéj Komornicy poszła do miasta. Ale nie spełniła się jéj nadzieja, gdyż owéj dobréj pani nie było w domu. Jednakże tyle przynajmniéj sprawiła, że gdy opowiedziała swą

nędzę i utrapienie znajomemu szewcowi, który niegdyś z jéj mężem walczył za ojczyznę, wtedy tenże pozwolił jéj zamieszkać w maleńkiéj izdebce na poddaszu.

„Będziecie mieli przynajmniéj jakie takie, poczciwa Katarzyno, schronienie“, mówił ów szewc, „a myślę, że prędzéj tu w mieście co zarobicie, aniżeli na wsi.“

Udała się więc Katarzyna do Smolnik po dzieci, a jeden z gospodarzy jadąc do miasteczka, zabrał jéj trochę rupieci. O jakże była szczęśliwą wdowa, gdy się nie potrzebowała troszczyć dla dzieci o przytułek. Dziękowała też Bogu, prosząc o dalszą pomoc i opiekę.

W rzeczy saméj miała dosyć roboty, bo święta Bożego Narodzenia się zbliżały, więc każdy się na nie sposobił. Ale oto na nieszczęście Katarzyna, pracując zbyt wiele, zachorowała ciężko i niebezpiecznie. O któż opisze boleść i niedolę téj biednéj rodziny.

Tu matka chora leży na łożu, a nie ma ni grosza na leki, nie ma za co kupić drzewa i chleba. Szewc wprawdzie wspierał jak mógł nieszczęśliwą, ale sam będąc ubogim, bo tylko siedział na komornem i kilkoro miał dzieci, a mało roboty, więc niewiele mógł czynić.

Jednakże Katarzyna nie sarkała przeciw Bogu, ale z pokorą przyjęła to nieszczęście. „Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki daje, a kto je cierpliwie znosi, szczęśliwym zostaje“, mawiała do dzieci, a pełna ufności udawała się do Boga o pomoc.

„O zlituj się Boże!“ modliła się w cichości, „nie nade mną, ale nad temi dziećmi biednemi, które cierpią głód i zimno.“

Zbliżyła się nakoniec Gwiazdka, dzień tyle dla wszystkich, a mianowicie dla dzieci pożądany, ale smutnym był ten dzień dla biędnej Katarzyny i jéj dziatek, bo nie mieli ani kawałka chleba, drzewa i świecy.

Już był wieczor, już zabłysły gwiazdy na niebie, ale w izdebce Katarzyny ciemno, głodno, zimno. Modliła się nieszczęśliwa wdowa, modliły się dzieci do Pana Jezusa, który przed wiekami urodził się w ubogiéj stajence, aby się zmiłował nad niemi — i oto ich szczera modlitwa była wysłuchaną.

Franuś, najstarszy chłopczyk, nie mogąc znieść nędzy, jaką matka i bracia i siostry ponosiły, wybiegł z izby, aby szukać ratunku. Pospieszył czem prędzéj do mieszkania owéj dobréj pani, w nadziei, że już może przyjechała.

Jakóż ujrzał oświecone okna, ale ciężko mu się zrobiło na sercu, gdy miał przestąpić próg, bo on nie był nawykły do wyciągania ręki o jałmużnę. Już się chciał wrócić, gdy wspomnienie na cierpiącą matkę i rodzeństwo dodało mu odwagi. Wszedł więc do sieni, a błądząc po omacku doszedł nakoniec do kuchni.

„A ty tu co chcesz, obszarpańcze jakiś“? zapytał go groźnie kucharz.

„Ach, panie, przebacz, że tu przybyłem, ale moja matka chora, a bracia i siostry głód cierpią, więc przyszedłem prosić wielmożnéj pani Grabińskiéj, aby się zlitowała nad nami, bo poginiemy.“

„Teraz nie można“, rzekł groźny kucharz, „bo państwo jedzą wieczerzę, wynoś się czemprędzéj, bo“, i tu pokazał pięść chłopcu.

Franuś zapłakał rzewnie i już chciał odchodzić,

gdy się drzwi otworzyły i weszła Ludwisia, jednastoletnia córeczka pani Grabińskiéj, dobra i piękna jak anioł, panienka.

„Cóż to za chłopiec“? zapytała miłym głosem, widząc odchodzącego Franusia.

„A to jakiś włóczęga, Bóg go tam wie“, odrzekł kucharz, ale łagodnym tonem.

„Pójdź tu chłopczyku“, rzekła dobra dziewczynka, „i powiedz czego żądasz, a chętnie poproszę mamy za tobą.“

„Ach dobra i łaskawa panienko“, zawołał Franuś, „matka moja chora, a bracia i siostry siedzą w zimnéj i ciemnéj izdebce głodno, och biedaż nam bieda, a nikt się nad nami nie chce zlitować.“

„Cicho“! odrzekła Ludwisia, „już ja poproszę mamy, poczekaj tylko trochę, dziś każdy powinien się weselić.“ I pobiegła szybko do pokoju, gdzie w krótkich słowach opowiedziała matce prożbę chłopca.

Pani Grabińska kazała zawołać Franusia. Wszedł chłopczyk, a liczne światła, piękne sprzęty i kilkoro dzieci z matką, pięknie ubranych, tudzież jakiś pan poważny, niepomału go zatrwożyły. Lecz niedługo ochłonął z pierwszéj trwogi. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“! wyrzekł, choć nieco przytłumionym głosem.

„Na wieki wieków!“ odezwała się pani Grabińska, „jak słyszę masz chorą matkę, i nie macie co jeść.“

„Oj tak biedni jesteśmy, ach Boże! tacy nieszczęśliwi. Matka chora, nas dzieci kilkoro, a ja choćbym chciał pracować, to teraz zimą nie mogę, a nikt mnie nie zna, bo niedawno tu mieszkamy.“

„A gdzież twój ojciec?“

„Ojciec zginął za Polskę, naszą kochaną ojczyz-

nę. Kiedy się zaczęła wojenka, to wziął kosę i poszedł bronić Polski.“ Tu Franuś nie mógł się wstrzymać od płaczu.

Pani Grabińska wypytała się o bliższe szczegóły, a potem rzekła: „Uspokój się chłopczyku, już ja zrobię co będzie można, masz tu teraz kawałek chleba, zjedz, a ja wnet przyszykuję co i dla matki, sióstr i braci.“

„O niechże Bóg zapłaci dobréj, złotéj pani“, odpowiedział Franuś, „ale czybym nie mógł lepiéj zanieść tego chleba moim braciszkom, bo oni głodniejsi odemnie.“

„Dobrze, dobrze“, rzekła pani Grabińska „idź i powiedz, że wkrótce was odwiedzę.“ Gdy odszedł Franuś, wtedy odezwała się dobra pani: „Uczcie się, kochane dzieci, od tego chłopca, jak należy kochać rodziców, braci i siostry.“

Franuś leciał czemprędzéj uszczęśliwiony, gdy oto na ulicy spotkał jakiegoś, jak mu się zdało, żebraka.

„A co dziadku, może głodni jesteście“, zapytał, „dostałem wprawdzie sam kawałek chleba, który chciałem dać moim braciszkom, ale dobra pani Grabińska obiecała nam co przysłać, a więc chętnie ci daję ten chleba kawałek, bo ty może więcéj od nas potrzebujesz.“

„O niechże ci Bóg dziecię wynagrodzi za twe dobre serce“! odrzekł mniemany żebrak, aleć nie chleba mi nie dostaje, mam ja inną troskę. Mówisz, że twa matka biedna, a powiedz gdzie mieszka.“

Franuś wymienił dom i ulicę.

„Dobrze, dobrze“, mówił przechodzień, „odwiedzę was wkrótce, a może wam będę mógł dopomódz.

Teraz muszę iść do starego znajomego, który mnie prosił na wieczerzę.“

Franuś długo spoglądał za odchodzącym, a jakieś dziwne, niewypowiedziane uczucie pierś jego owładnęło.

Zaledwie przybył do domu i opowiedział, co go spotkało, gdy już przybyla sama dobra pani Grabińska z dziećmi, a za nią wszedł służący, niosąc pełen kosz żywności.

Pani Grabińska wypytywała się troskliwie o chorobę, wprzód atoli kazała wyjąć dla dzieci i wdowy pożywienie. Dzieci jéj przyniosły dla dzieci wdowy ze swéj gwiazdki jabłek, pierników, cukierków, zabawek i t. p. rzeczy.

Już się zabierała pani Grabińska do odejścia, przyrzekając że wkrótce przyśle biegłego lekarza, gdy zwolna ktoś zapukał, a wnet wszedł do izdebki jakiś stary wojskowy. Franuś poznał w nim owego żebraka, jak myślał, z ulicy.

Lecz cóż to, zaledwie ów wojak, spojrzał na wdowę, a natychmiast pobiegł ku niéj szybko wołając: „Ach toś ty, Kasiu kochana, więc cię znalazłem nakoniec i was dzieci kochane: O Boże jak jesteś dobrym i łaskawym.“

„Tyżeś to Stanisławie!“ zawołała Katarzyna, „o którym głoszono powszechnie, że zostałeś zabity.“

„O nie, ja żyję, jak widzisz, Bóg mnie uratował.“

Trudno opisać radość i wesele, jakie w téj izdebce teraz panowały. Sama pani Grabińska i jéj dziatki nie mogły się od łez wstrzymać, wielbiąc dziwne Boga zrządzenie, że właśnie w Gwiazdkę pozwolił znowu się spotkać i poznać żonie i dzieciom z mężem i ojcem po długich latach niewidzenia.

Stanisław usiadł i zaczął opowiadać przygody życia. Walczył mężnie w kilku potyczkach, a w jednéj zaciętéj bitwie ciężko ranny był uważany za nieżywego, ale mimo niebezpiecznéj rany ozdrowiał, lecz dostał się za to w niewolę nieprzyjaciół. Tu spędził lat kilka, nie mogąc dać o sobie najmniéjszą wiadomości rodzinie. Teraz gdy już wrócił pokój, wypuszczono i jego wraz z wielu innymi jeńcami.

Pani Grabińska bacznie się przysłuchiwała opowiadaniu, a potem tak rzekła:

„Jakie wasze nazwisko, poczciwy Stanisławie?“

„Nazywam się Kłonica, proszę pani“, odpowiedział.

„Więc to ty jesteś poczciwy Kłonico, który kiedy rozjuszone żołdactwo chciało dwór mój zrabować, a zapewne mnie i dzieci moje zabić, dzielną obroną ocaliłeś mi majątek i życie. O dzięki ci stokrotne. Patrzcie dzieci, oto wasz dobroczyńca, któremu bardzo wiele zawdzięczacie.“

Nadaremnie wiarus się wymawiał, że to nic było wielkiego, co wtedy uczynił, rozczulona pani dziękowała mu serdecznie, ciesząc się, że jéj Bóg dozwolił odpłacić przynajmniéj rodzinie wybawcy swe ocalenie.

Kiedy się już pani Grabińska zabierała do odchodu, wtedy tak rzekła: „Oto jak Bóg pamięta o ludziach, i nie opuszcza nas w nieszczęściu, jeżeli tylko pełnimy Jego świętą wolę. Nagrodził Bóg waszą cnotę, Stanisławie i Katarzyno, gdy oto po długiem rozstaniu znów was połączył. Dla tego też wielbmy zawsze i wysławiajmy Boga.“

Oddaliła się potem dobra pani, ale jeszcze tego samego wieczora przybył lekarz, a w skutek gorliwych jego starań Katarzyna wkrótce odzyskała zdrowie.

Trudno opisać radość jaka panowała w izdebce na poddaszu. Oj była to szczęśliwa Gwiazdka, gdy dzieci odzyskały ojca, żona męża, a ów wiarus żonę i dzieci. To też dziękowali Bogu za tak wielkie dobrodziejstwo.

Dobra pani Grabińska zajęła się gorliwie losem téj biednéj rodziny. Stanisława zamianowała leśniczym w swych borach, a dzieci dała uczyć pożytecznych rzemiósł. Wszystkie też dzieci wyrosły na porządnych ludzi, Bogu na pociechę a bliźnim na pożytek.

Co rok w dzień Gwiazdki zbierała się rodzina Kłonicy pospołu, aby się cieszyć nawzajem i przypominać pamiątkę dnia tego, oraz dziękować Bogu za Jego opiekę.

Stary wiarus Stanisław opowiadał wtedy wnukom przygody życia, kończąc zwykle temi słowy swe opowiadania: „Tak, tak dzieci kochane, kto żyje uczciwie, kocha Boga i ludzi, o tym i Bóg pamięta i ratuje go w niedoli.“

Skarb w książkach ukryty.

Pewien ojciec miał dwóch synów: Kubusia i Jędrusia. Młodszy braciszek bardzo lubił czytać piękne książeczki, najbardziéj się zawsze cieszył, gdy dostał jakie ładne dziełko do czytania. Zaś Kubuś niewiele się o czytanie troszczył, ale raczéj wolał latać po dworze, rzucać kamykami, lub nic nie robić. To też Jędruś daleko więcéj umiał, aniżeli Kubuś, i w szkole wyżéj siedział od brata.

Ojciec nieraz upominał Kubusia, aby naśladował brata, ale gdzie tam, Kubuś był niepoprawiony. Raz ojciec zawołał obydwóch synów do swego pokoju i tak się do nich odezwał: „Kochane dzieci! oto tu na stole widzicie książki i pieniądze. Tu jest parę pięknych książek z obrazkami, a tu talar czyli sześć złotych. Tu znowu są książki i znowu sześć złotych. Niech sobie każdy wybierze, co mu się podoba. Za pieniądze możecie sobie kupić co chcecie, t. j. jeżeli tylko na złe pieniędzy nie obrócicie. Ale namyślcie się wprzód dobrze, zanim wybór uczynicie, abyście potem nie żałowali.“

Rzecze Kubuś: Ej co tam książki, nic mi po nich. A za sześć złotych co to będę sobie mógł kupić zabawek, pierników, cukierków i różnych ślicznych rzeczy. Ja biorę talara.“ Jak rzekł, tak uczynił, podziękowawszy pięknie ojcu za podarunek.

Jędruś długo się namyślał. Widział niedawno w mieście piękną strzelbkę trąbkę, i pałasik, które mu się bardzo podobały. Za sześć złotych mógł je dostać. Ale znowu książki takie piękne, zabawne, tyle można z nich korzystać i jeszcze innym pożyczyć. „Ej co ja“, rzecze Jędruś, „wybieram sobie książki, obejdę się bez pałasika, strzelbki i trąbki.“ Jakoż wziął dobry chłopczyk książki, dziękując za nie ojcu.

Zacznie przeglądać chłopczyna książeczki z obrazkami, aż tu naraz wylecą jakieś papierki. Były to papierowe pieniądze, w ilości 2 talarów t. j. 12 polskich złotych. Jędruś chce oddać ojcu, ale ten rzekł na to: „To twoje Jędrusiu, i w książkach dla Kubusia przeznaczonych znajduje się tyleż. Niech wam to zdarzenie, kochane dzieci, będzie nauką. W każ-

déj dobréj książce jest skarb ukryty, choć nie pieniądze, to co innego. Oto kto czyta pożyteczne książki staje się lepszym, mądrzejszym, bawi się mile i przyzwoicie, poznaje Boga, świat, ludzi i siebie. Trzeba tylko umieć ten skarb wydobyć, t. j. wypełniać to, co w książkach stoi. Nie zapomnijcie nigdy na to kochani synowie, ty Jędrusiu zostań takim, jakim jesteś, a ty Kubusiu się popraw."

Jakoż doczekał się ojciec téj pociechy, że i starszy syn zamiłował nauki i polubił wielce czytanie książek. A cóż czytelniku lub słuchaczu czy nie zechcesz naśladować Jędrusia, albo jeżeli jesteś takim jak Kubuś, czy się na wzór niego nie poprawisz? —

Dwa Dęby.

Wiersz T. Lenartowicza.

Nad modrym stawem dwa dęby stały
A bardzo dawne po sto lat miały.

Raz przy miesiącu nad cichą wodą
Dąbek staruszek potrząsnął brodą.

I z drugim dębem rozmowę wiedzie:
Co z ciebie będzie miły sąsiedzie?

Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią.

Będę kołysał małe dziecią̨tko —
Albo chłopaka, albo dziewczątko.

A ze mnie, drugi dąbek odpowie
Żłobek dla koni zrobią majstrowie.

Nade mną dużo zawieszą siana
Przy mnie stać będzie konik hułana.

A pierwszy na to: bądź sobie żłobem,
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.

Mój miły bracie, nie mów tak szumno;
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.

Pięć desek zbiją na wieczne spanie
Któż tedy z człekiem dłużéj zostanie?

A pierwszy na to: bądź trumną sobie,
Ja będę czarnym krzyżem na grobie.

A na mnie napis będzie wyryty;
Tu leży wojak w bitwie zabity.

Śmierć dobréj dziewczynki.

Dawno już temu, bardzo dawno, była na prawym brzegu rzeki Skawy w dolinie żyznéj duża rozległa wieś, ozdobiona kościołem z wieżą, ocieniona rozłożystemi drzewami, królowała na wzgórku, i choć bez wspaniałych gmachów, bo ni grodu, ni zamku, ni dworu szlacheckiego w niéj nie było; panowała uprawną rolą, zielonemi łąkami liczną trzodą na całéj pochyłości aż do rzeki, a tam u stóp i Tatrów i Karpatów dla jéj mieszkańców świat się kończył, zasuty olbrzymią zasłoną — twórczą ręką ze ziemi, skał, drzew, zrobioną zasłoną.

Otóż nad rzeczką Skawą, u stóp Karpatów, w téj ludnéj posadzie na wzgórku, ostatnia chata wyższa i obszerniejsza była od innych, dach prawda ze słomy, ale strzecha suta, porządnie i hojnie poszyta, ściany troskliwie wylepione, pobielone, okna czyste i niepotłuczone, płoty ciernistе starannie i kształtnie uplecione, wrota wysokie, podwórze umiecione, a po dwu stronach zastawione pługami, radłami, bronami,

wozami, i różnemi gospodarskiemi sprzętami, przed stodółką były cepy i szafle, w obórce napasione krowy i cztery wołki w jarzmach, w sadzie zaś śliwy i jabłonie gną się pod ciężarem owoców, ku południowi stoi szereg ulów, a na drobnéj, gęstéj murawie bieli się gładko rozciągnięte płótno, warzywo wolne od chwastu na grzędkach bujnie rośnie, a daléj złotem połyskuje łan pszenicy; w izbie chędogo a nie ubogo, kądziel owinięta białym lnem, mleko pieni się w kilku naczyniach glinianych, ławy i stoły pomyte, na ognisku wieczerza na węglach czeka zgromadzenia się rodziny. Wszędzie widać pracę, wszędzie spłynęła rosa niebieska na znoje i trudy ludzkiéj skrzętności, sądzić łatwo, że oszczędność, gorliwe i cierpliwe zabiegi i żarliwa modlitwa, sprawiły tę błogą obfitość. Tych Boskich darów próżniactwo i przepych pojąć, skosztować, ocenić nie umieją; mierność cnotliwa wie, że swoboda okupiona pracą jest prawem bogactwem, pokora i spokój jéj towarzyszą.

I był też spokój w téj chacie, chociaż w niéj ani próżno, ani cicho nie było, gdyż w około hożéj i dorodnéj matki uwijało się sześcioro dziatek: rumiane ich lica, żywość w czarnych oczach, ciemne włosy, głosy wesołe, nadawały im lubą jednostajność, która się mile i wyraźnie zlewała w podobieństwie z rodzicami. Ojciec silnéj postawy a męzkiéj piękności, wiekiem poważniejszy od swej towarzyszki, w pierwszéj młodości poszedł był na Hajdamaków, zemścić się na nich obrazy Boga i Ojczyzny. Odbijał się na jego czole blask odwagi, urok szczęścia, powaga pracy; wiele ukochał na ziemi, a przecież pragnął nieba. Chociaż chłopięta drobne, zaganiał

ich już do roboty, brał z sobą w pole, matka równie maleńkie rączki dzieweczek składała do pacierza, do igiełki, do przędzenia, tylko jednéj w kolebce niczego jeszcze nie uczy; ale ona czy do aniołków się śmieje, czy sama jest aniołkiem, któremu skrzydełek nie widać, nie wiedzą; błękit oczu i złote pierścienie płowych włosków, usteczka wdzięczne, białość przezroczysta kształtnego ciałka, wszystko różni ją od innych; rośnie, chodzi i mówi, a wszystko dobrze i ślicznie; ojciec pogląda z rozrzewnieniem, niekiedy rękę swą położy na głowie, a dziecina klęka i główkę nachyla; ona nie wie co to i nie pyta, ale czuje, że błogosławieństwo.

Matka kocha, do łona tuli, a w najczulszych pieszczotach nieśmiała, z tamtemi cały dzieci się napracuje, nakłopoci, nagada, i choć wieczorem po trudach usiądzie przy niéj i patrzy jéj w oczka jakby w gwiazdę pociechy, i zapyta czasem coby chciała? a ona się uśmiechnie, i nigdy nic nie chce; przyjmuje, dziękuje, ale nie żąda, nie szuka, nie pragnie niczego; mało mówi, tylko od rana do nocy uważa jak matce co ułatwić, usunąć, jak pomódz; mili się ojcu, znosi, służy mu ile drobne podołają rączęta, braciom i siostrom ustępuje, wszystkiem się dzieli, nawet lubi czeladź przy pracy śpiewką pobożną lub słówkiem łagodnem pokrzepić, lub z nią ochoczo robotę łatwą podejmie.

Każdy miał tam sobie obowiązek nadany; matka powierzyła stado gęsi najmłodszemu synowi, aby je nad rzeką pasał; ale nie pilnował ich bacznie, tak że najczęściéj były rozproszone lub spłoszone, nie umiał potem zwołać i zgromadzić, matka się często umęczyła i niekiedy gniewała. Zawsze anielska dzie-

cina za brata ją przepraszała, aż razu jednego prosiła pokornie, aby odtąd na nią to zdane było; ale nieostróżnością chłopięcia ptaki zdziczałe! daleko do domu! i nad samą wodą! jak to będzie? — a lubéj i mądréj dziecinie odmówić trudno, prawie niepodobna.

Idzie tedy i codzień chodzi boso i w białéj koszulce, a gąski powolne nie uciekają, i przed mrokiem wracają, a berło jéj to gałązka czeremchy lub leszczyny.

Już od kilku dni maleńka dziewczynka ze wschodem słońca szła w pole daleko, pochmurne było niebo; nie rozpatrzyła się, z razu cała zajęta uskromienieniem niekarnych swoich poddanych — wnet samotność, dotąd nieznana, mgłą tęsknoty zasępiła pogodną twarzyczkę, aliści siódmego poranku, jutrzenka wspaniała roztoczyła purpurowe płomienie, miliony iskier z głębi Skawy wyskoczyły ją witać, góry to błękitną, to fioletową barwę przybrały, lasy umajone żywą zielonością rozpostarły swe cienie, każdy przedmiot wydatnym i zbliżonym się zdawał, przyrodzenie wszelkiéj piękności powabem ogarnęło świat rozbudzony. Pastuszka nasza odurzona światłem, zachwycona, milcząca, wszędzie okiem sięgała, nigdzie nie odpoczęła, serce jéj wezbrane; aż tu pod gajem postrzega szczyt lichéj kapliczki; bieży pędem, ona, co nigdy nieciekawa, nigdy się nie spieszy, bieży gołą nóżką po roli, po piasku, po nad rzekę i dobiega. Wątpić nie może, to kaplica, bo krzyż na wierzchu, ale wnijść, ani myśleć, ani nawet dojrzeć co w niéj; kamienie, ciernie i ziele wysokie zarastały wchód do niej; to ją nie zraża; odważnie nagina, łamie rączką pokrwawioną ostatnią łodygę i wyrywa z trudnością i wchodzi — i oto znajduje nad szczątkami zwalonego ołtarza krzyż, a na nim przybity Zbawiciel.

Dziecina upada na kolana, rączki składa na piersiach, wznosi smętne oczy, zalane łzami i głosem wdzięcznym i żałosnym zawoła: „Tak Cię to samego zostawili mój Panie! nikt Cię nie pilnuje, nikt z Tobą nie rozmawia — tak Ci tu smutno i ciemno i głodno. Już Ci tak nie będzie mój Jezu! — ja Cię tu ubiorę, nakarmię, ja Cię kochać będę, bawić się i płakać chcę z Tobą.“

I dnia drugiego koszulkę białą włożyła na boski wizerunek, uplotła wianek z stokrotek, na koronie cierniowéj zawiesiła, zamietła kapliczkę, posypała wonnemi kwiatami ołtarz i połowę swego chleba i jagody w koszyczku postawiła, a na progu siedząc, czekała; a gdy słońce zachodziło powstała: „Dobra noc, Ci mój Panie!“ rzekła, słodkiem wejrzeniem, żegnając obraz Zbawiciela, „wrócę jutro i pojutrze wrócę, i zawsze przy Tobie i z Tobą zostanę i już Ci nie będzie smutno, ciemno i głodno, póki ja żyć będę.“

Wiernie danego dotrzymała słowa, dnie całe doglądając gąsek, a patrząc na krzyż, mówiła, śpiewała, kapliczkę ozdabiała, a często, bardzo często wracając w południe, zastawała w niéj modlącego się żebraka lub pielgrzyma, który dzięki składał za pokrzepienie się niespodziewanym posiłkiem, a jéj się lubo na sercu robiło.

Aż tu dnia jednego, już w późnéj jesieni, wypędzała gęski z podwórza, kiedy matka rzekła: „Dziś ostatni raz pójdziesz w pole.“

Pobladły rumiane lica dziecięcia, drżącym głosem spytała: „Matulo, kiedy tam wrócę?“

„Na wiosnę dopiero!“ odrzekła matka.

Pobiegła do chaty, otworzyła skrzyneczkę i wy-

jęła z niéj kilką czerwonych jabłek, które do koszyka włożyła i pomału szła w pole, rączką ocierając łzy rzęsiste; a pognawszy stado na zwykłe miejsce nad rzekę, pobiegła do kaplicy. Tam zamiast wesołego, codziennego powitania, tak się odezwała: „Czy nie wiesz, co się stało, o mój miły Panie? czy widzisz, jak ja płaczę? ale płacz nic nie pomoże; matki muszę słuchać, już nie wrócę! całą zimę do Ciebie nie wrócę! znów Ci zimno, smutno i głodno będzie; ostatni raz Ci jabłuszka moje przynoszę i sukienkę ciepłą“; a odwiązawszy z siebie sukienkę zimową, zawiesiła ją na krzyżu, i nią otuliła Jezusa, i cały dzień wzdychając i narzekając tkliwie, żegnała ulubionego, jedynego swego towarzysza.

Już się ciemnieć poczęło, dziewczynka stała na progu i odejść miała, kiedy głosem dźwięcznym, poważnym, cichym i pełnym imię jéj zabrzmiało uroczyście pod sklepieniem kapliczki; wzniosła bez trwogi oczy, patrzy na Pana i czeka: „Córko moja! na mnie kolej poczęstować cię i ustroić; zapraszam cię jutro do siebie na królewską ucztę i królewskie dostaniesz szaty i przymnie siedzieć będziesz, czy przyjdziesz?“

„O przyjdę, mój Jezu“, odpowiedziała dzieweczka, „ale gdzież mi iść każesz, czy tutaj?“

„Do nieba, nie tutaj; chceszli być u mnie to umrzeć musisz.“

„O ja chcę umrzeć i być u Ciebie, mój Boże!“

I dziecina wolnym krokiem szła ku domowi, paluszek na czole trzymała, oczko ku ziemi spuściła i rozmyślała; pokój radosny malował się na wdzięcznem obliczu; i weszła do izby, gdzie grono rodzinne już koło wieczerzy się krzątało; na ławie

wskazano jéj miejsce, ale ona wsparłszy główkę na ramieniu ojca, cicho mn szepnęła te słowa:

„Nigdym cię ojcze o nic nie prosiła; przyrzeknij, że mi nic nie odmówisz, o co cię dziś proszę.“

„Przyrzekam“, odrzekł zdziwiony.

„O nie mów głośno“, rzekła dziewczynka, „by matula nie słyszała méj prożby; daruj mi trumienkę, masz deski suche gotowe, zrób mi dziś jeszcze trumienkę; — pierwsza i ostatnia moja prożba.“

Ojciec radby się uśmiechnąć i w żart obrócić tę mowę, ale dziecię poważnie i z litością na matkę wskazało, rączki błagalnie złożyło i zadrżała mu łza w oku; powstał, wziął toporek i wyszedł. Dzieweczka pocałowała braci; siostry, obłapiła kolana matce i do paciórka uklękła, a wszyscy spali, nim ona go skończyła.

W komorze przed świtem leży na ziemi trumienka; dziecina oblekła białą koszulkę, włożyła wieniec zielony na swoje złote kędziorki, i czeka przebudzenia rodziców; a gdy się ocknęli, zbliżywszy się do nich, jak zwykle:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“! wyrzekła.

Odpowiedzieli: „Na wieki wieków. Amen.“

Ona wtedy uklękła, a przymilając im się i tuląc główkę do ich łona, tak się odezwała: „Żegnam was, drogi ojcze, kochana matko; Jezus mnie do siebie zaprosił; nie płaczcie; wyglądać was będę w niebie!“

Zadumieni nie pojmują znaczenia tych słów, jak im się często niepojętą zdawała ta luba dzieweczka. A ona wraca do komory i lekko drzwi zawiera.

Rodzice smętni, garną się jednak do pracy, nie

mówią i słowa do siebie, aż tu gdy mają zaczynać modlitwę poranną z dziatkami i czeladzią, słyszą wszyscy anielskie pienie, głosy niebieskiemi wdzięcznie wtórowane. Matka struchlała, chwiejąc się biegnie, otwiera drzwi i widzi dziecinę swoją ukochaną, leżącą w trumience, bledziuchne lica, oczęta zamknięte, ręce na krzyż złożone, uśmiech nadziemskiéj rozkoszy na ustach koralowych.

„O Boże!“ krzyknęła żałośnie matka, „umarła! myśmy jéj nie byli warci“, i padła na ziemię, duszą i wnętrznościami bolejąc.

„Niewiasto!“ wyrzekł mąż podejmując ją zwolna, „tyś matką anioła, bądź odtąd siostrą moją i panią“.

Taka to istnieje legenda o dobréj dziewczynie nad rzeczką Skawą, w ziemi krakowskiéj, pierwszy raz w „Przyjacielu Ludu“ wychodzącym w Lesznie podana i z tego pisma przedrukowana.

Hucuł i ptaszyna.

Hucuł mówi do ptaszyny:

Przyleciałaś tu ptaszyno między dzikie góry,
Chcesz przylepić twe gniazdeczko do przelotnéj chmury;
Leć w doliny, leć w równiny, tam zamki i grody!
Tam są spichrze pełne zboża i kwiatów ogrody,
Na szerokich, żyznych łanach już żółknieje zboże,
Tu ci ziarnka biedny hucuł posypać nie może;
Tam weseléj, tam swobodniéj latać tobie będzie.
U mnie jodły w polu rosną, głaz sterczy na grzędzie;
Tutaj matka nie wyżywi i własnéj dzieciny,
Leć ptaszyno w inne strony w podolskie równiny!

Ptaszyna odpowiada:

Nie polecę, nie porzucę hucułskiéj zagrody,
Bo mi milsze wasze lasy, milsze wasze wody.
Pod tą strzechą matka moja gniazdeczko zlepiła,
Ja w téj chacie, z twą dzieciną, razem się rodziła.
Tu mnie matka nauczyła smutną piosnkę nucić,
Ja tu z wami chcę pozostać i z wami się smucić.
Z wami będę wszystkie losy, złe i dobre dzielić,
Z wami głód i nędzę znosić, z wami się weselić,
Latać będę po tych skałach, kryć się w téj krzewinie;
Z wami będę w ciemnéj nocy śpiewać w połoninie
Dla was ja nie pożałuję do lotu skrzydełek,
Bo wiem, że wy dla mnie zdradnych nie macie sidełek.
I na cmentarz nieraz zlecę, gdzie są wasze groby,
I na krzyżu siadłszy nucić będę pieśń żałoby.
A więc dajcie mi umierać, tam gdziem się rodziła,
Bo ojczyzna nad świat cały i ptaszynie miła!

Śliczny ten wiersz ułożył X. Karól Antoniewicz. Ptaszki mówić nie umieją, ale jest to tak umyślnie ten wierszyk ułożony, aby wykazać, że trzeba kochać ziemię ojczystą. Huculi mieszkają w górach Karpackich, a choć nieurodzajne zamieszkują góry, jednak wielce kochają kraj rodzinny, tak że nieraz uciekają od wojska, aby choć tylko raz zobaczyć ojczyste góry i rodzinną chatę. Bierzcie więc ztąd przykład, dzieci kochane, i kochajcie ziemię, na któréj żyjecie i naród do którego należycie. —

Trzy powieści ludowe.

Nieraz zapewne słyszałyście, kochane dzieci, powieści, jakie krążą po wsiach między ludem.

Nieraz te powieści ludowe o zaczarowanych królestwach, księżniczkach, o trzech braciach, i inne zawierają głębokie nauki. Przytaczam wam tu trzy takie powieści. Pierwsza o Panu Jezusie uczy, że nieraz nam się nie podobają wyroki Boże i źle o nich sądzimy, ale to tylko dla tego, że ich nie znamy. Podobną myśl zawiera druga powieść o pustelniku i aniele, a trzecia pokazuje, że tylko z szczerego serca dana jałmużna ubogiemu miłą jest Bogu. Wiele takich pięknych powieści krąży między polskim ludem. Mianowicie zimą przy kominie opowiadają sobie dziewczęta i parobcy takie opowiadania. Ale wiele też jest powieści niełądnych, dla tego lepiéjby było, aby po wsiach czytywali piękne, budujące książki, których coraz większa jest liczba, a z których można się zabawić i pouczyć. A teraz przytaczam te powieści.

1. O Panu Jezusie i o świętym Piotrze, kiedy po świecie chodzili.

Razu pewnego szedł Pan Jezus z świętym Piotrem nad morzem. Spojrzał święty Piotr na morze i widzi, że tonie okręt. „Panie“, rzecze do Zbawiciela, „dla czego ma ten okręt zatonąć, czyby go nie można wyratować? „Na to odrzekł Pan Jezus: „Na tym okręcie znajduje się jeden bezbożny człowiek, ten ściągnął na siebie karę i dla niego muszą zginąć wszyscy na okręcie, a jest ich tam około tysiąc ludzi.“ Począł narzekać święty Piotr na niesprawiedliwość i prosił gorąco, aby się Pan Jezus zlitował nad biednymi ludźmi, ale Zbawiciel świata nic mu nie odrzekł tylko szedł daléj a daléj.

Tak postępując, znaleźli w pewnéj odległości rój pszczół, który się niedawno wyroił i szukał stósownego miejsca. „Weź te pszczoły“, rzekł Boski Mistrz do Piotra, „a jak upatrzymy stósowne dla nich miejsce, to je wypuścisz“. Usłuchał Piotr święty, zebrał więc ostróżnie pszczoły i włożył je za zwieszoną koszulę za nadry. Niedługo rozkazał Pan Jezus wypuścić pszczoły, bo ujrzał wypruchniałe drzewo, w któremby je można osadzić.

„Panie!“ odrzekł z nieśmiałością Piotr, „jedna pszczoła mię ukąsiła, ja zacząłem trzeć, a przez to wyginęły wszystkie pszczoły“. „Widzisz“, odrzekł Zbawiciel, „dla tego że cię jedna ukąsiła pszczoła, wyginęły wszystkie inne. Tak też było z owym okrętem: dla grzechów jednego bezbożnika utonęli wszyscy ludzie na okręcie. Poznał święty Piotr błąd swój, opuścił głowę i postępował dalej za Boskim Przewodnikiem.

A wtem ujrzą nade drogą pszenicę; z jednéj strony była śliczna pszenica, że kłosy uginały się pod ciężarem ziarna, a z drugiéj strony drogi była nędzna pszenica. Widząc to święty Piotr mniemał, że to jest niesprawiedliwie, aby jeden człowiek miał taką dobrą, a drugi taką złą pszenicę, prosił więc Pana Jezusa, aby zniszczył tę bujną i zrównał ją z tą lichą.

„Będziesz tego żałował“, rzekł Zbawiciel, i zaraz rozkazał zniszczyć gradom tę śliczną pszenicę. I stało się tak, a wnet dwa te pola były do siebie podobne

Wkrótce przybyli do miasta, gdzie właśnie odbierali ubodzy przy kościele jałmużnę w chlebie, a że i Piotr głód uczuł, więc stanął w rzędzie ubo-

gich. Dostał sporą kukiełkę chleba. Powróciwszy do Pana Jezusa chwalił dobrą panią, która chleb rozdawała, oraz opowiedział, że chleb był smaczny i że się dobrze pożywił.

Na to rzekł Pan Jezus: „A wiesz ty komu masz do zawdzięczenia tę jałmużnę? Oto właścicielce téj pięknéj pszenicy, która na twą prożbę zniszczoną została. Wdowa ta wspiera ubogich, jest pobożną, a że jéj pola są zawsze dobrze uprawione, więc też obfite ma zbiory. A to drugie pole pszenicy należy się grzesznikowi, pijanicy, który byle jak rolę uprawi, więc też liche ma urodzaje. Widzisz, coś uczynił.“

„Przebacz, Panie, zbłądziłem, sądząc z powierzchowności“, odrzekł Piotr święty, a Zbawiciel chętnie mu przebaczył.

2. Pustelnik i anioł.

Jeden świątobliwy pustelnik zapragnął raz wiedzieć, jakie też skryte grzechy ludzie na świecie mają? Odwiedzał go często anioł, pustelnik więc oznajmił mu swe życzenie, a anioł rzekł: „Pójdziesz ze mną pomiędzy ludzi, między którymi dawno już nie byłeś.“

Gdy się zbliżali do pewnego miasta, napotkali dwóch młodzieńców cudnéj urody: anioł mijając ich, zatkał sobie nos i twarz swoją od nich odwrócił. Poszli daléj i napotkali ścierwo końskie, które z daleka cuchło. Pustelnik zatkał sobie nos, anioł tego nie uczynił. Minęli miasto i przyszli do wsi, gdzie u pewnego wieśniaka nocleg znaleźli. Człowiek ten miał jedno dziecko, z którem się on i jego żona wielce pieścili.

W nocy, gdy ojciec i matka zasnęli, rzekł anioł do pustelnika: „Rodzice tego dziecięcia ze zbytecznéj z niem pieszczoty, zapomnieli już zupełnie o Bogu; kładą się spać i wstają nie mówiąc pacierza, do kościoła nie chodzą, tylko myślą o pieszczochu i z nim się bawią. Pójdę i dotknę się tego dziecięcia, a więcéj się nie ocuci, gdyby dorosło, rodzice i dziecko poszliby na potępienie.“ Anioł uczyniwszy tak jak mówił, zawołał pustelnika, aby szedł za nim daléj.

Na drugą noc zostali w mieście u jednego oberzysty, który sobie kazał zrobić złoty kielich misternéj roboty, i w którym się niezmiernie kochał, a kładąc się spać lub wstając, zawsze nań rad był patrzeć i z niego pić, nie dbając już wcale o kościele i pacierzu. W nocy rzekł anioł do pustelnika: „Widziałeś, jak ten człowiek zaślepił się już w mamonie świata, muszę mu ją odebrać.“ Uczynił, jak powiedział, a potem udali się w dalszą podróż.

Trzeciéj nocy zostali w karczmie pod lasem, gdzie zwyczajnie wieprzarze radzi nocowali. Gospodarz zrobił im wygodę, i posławszy łóżka dał im pierzyny swoje. Anioł zaś w nocy zawołał pustelnika, i w stajni, gdzie wieprze stały, z nim się przespał. Rano zaś kazał się anioł pustelnikowi zapytać gospodarza, co winni od noclegu? Gospodarz nic nie żądał, i wielce się dziwował, dla czego poszli spać do stajni? Anioł rzekł, że nocleg zapłacony być musi, i dał mu ów złoty kielich.

Gdy daléj szli w drogę, rzekł do anioła pustelnik: „Wiesz co, ja ciebie za anioła nie uważam“, ten zaś rzekł: „A to czemu?“

Pustelnik mówi: „Zatkałeś nos przed pięknymi młodzieńcami, a nie zatkałeś go przed stęchłym

ścierwem. Zabiłeś dziecko niewinne, wziąłeś kielich złoty jednemu, a dałeś go drugiemu.“

Na co mu anioł rzecze: „Młodzieńcy, których ty pięknymi widziałeś, przez zakamieniałość i mnogość swoich grzechów, są obrzydliwymi przed Bogiem, a powonienie, które mnie od nich dolatywało, było mi nieznośniejszem od tego ścierwu, przed którym ty nos zatkałeś. Zabiłem dziecko niewinne, chcąc, aby niewinnem przed Bogiem stanęlo, gdyż pieszczoty rodzicielskie byłyby je uczyniły zbójcą i złodziejem; a ślepe rozmiłowanie się w niem rodziców byłoby rodziców na wieczne potępienie zaprowadziło, boby byli zupełnie zapomnieli o Bogu, do którego teraz w ciężkim smutku swoim wrócą. Zakochanie się w zbytecznéj mamonie złotéj, byłoby oberzystę przyprowadziło do zbrodni; a gościnne przyjęcie karczmarza pod lasem, i jego dziwowanie się, że za nocleg w stajni chcieliśmy płacić, powinno cię było przekonać, że nie jest chciwy.“

To powiedziawszy anioł, zniknął, a pustelnik wróciwszy do domu, inaczéj zaczął postępki ludzkie i wolę Bożą sądzić.

3. Jałmużna.

Szedł ubogi dziadek przez wieś po prożbie i wstąpił do Błażkowéj. Ale Błażkowa tak była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dawszy dziadkowi jeszcze go wykrzyczawszy z izby wypędziła, nie rzeknąwszy nawet: iżby go Pan Bóg opatrzył; dziadek po prożbie od chałupy do chałupy chodził, i jak wyszedł od Błażkowéj, poszedł w pole do Janowéj.

Janowa to była dobra i miłosierna kobieta, jak jeno ujrzała ubogiego dziadka, zaraz dwa glonki chleba, dzieciom masłem posmarowane oderwała od gęby i onemi dziadka obdarzyła, mówiąc: by go Pan Bóg czém lepszém wspomógł, bo ona jest biedną i nic więcéj nie ma w chałupie.

„Bóg zapłać miłosierna kobieto, oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i była szczęśliwą, a jak co zaczniesz dziś robić, byś do zachodu słońca ledwie skończyła.“

Tak wychodząc mówił ubogi staruszek.

„Bóg zapłać, — Bóg zapłać!“ za błogosławieństwo dziękowała Janowa, — ale wszystkiego, co dziadek mówił dobrze nie zważała i nie zrozumiała.

Janowa biedna była kobieta i do tego wdowa, miała dwoje dzieci, które żywiła z wyrobku; gdy ubogi dziadek od niéj wyszedł już było po południu, a jéj dzieci nie jadły jeszcze obiadu, ani na wieczerzą nic dla nich nie miała.

Biedna Janowa dostała na wiosnę od Błażkowéj trzy zagony lnu, za które wiele dni ciężko odrobić musiała — ale odrobiła; len sobie zebrała, zmoczyła, wyczesała, zprzędła, wszystko jak należy sama zrobiła i z tego lnu zrobił jéj tkacz ze dwadzieścia łokci płótna — i to płótno cały swój majątek chowała na zimę, na koszule dla dzieci i dla siebie.

Jak ubogi staruszek od niéj wyszedł, taka była w domu bieda, że ani utnij siekierą, dzieci jeść płakały, i jéj się na płacz zbierało.

Nie wiedziała co począć, aż przyszło jéj na myśl zanieść na przedaż do żyda z kilka łokci płótna i kupić chleba i soli. Jęła się więc do mierzenia tego płótna — dzieci się uspokoiły, a ona mierzy

i mierzy, co wyciągnie na łokieć, mierzy bez końca, mierzy i mierzy i do zachodu słońca płótno mierzyła.

Ze swoich dwódziestu łokci, tysiące łokci płótna namierzyła. Uradowana, podziękowała naprzód Bogu, a iżby czém prędzéj posilić dzieci, nie chciała iść na koniec wsi do żyda, więc wziąwszy kilka łokci płótna, sprzedała go Błażkowéj, prawda, że za psie pieniądze, ale cóż miała robić, kiedy jéj dzieci były głodne.

Na drugi dzień w mieście był jarmark, Janowa poszła ze swojém płótnem, a że jéj płótno było mocne i gładkie więc zapłacono jéj dobrze, — i tak Janowa z przeróżnemi rzeczami i tęgim workiem z jarmarku powróciła do domu.

Nie zadługo poczciwa Janowa kupiła sobie dwie krowy, kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę, chwaliła Boga i pracowała.

To szczęście Janowéj, nie było rażne Błażkowéj, a choć z sobą teraz często jadły i piły, a nawet się pokumały, Błażkowa nie była zawsze Janowéj szczera.

Jednego razu przy kieliszku wódki dopytywała się Janowéj, jakim téż to ona sposobem przyszła do swéj chudoby i gospodarki? — A Janowa, jak było wszystko z początku, jak do niéj przyszedł po prośbie dziadek, jak mu dała oderwane od gęby dzieciom dwa glonki chleba, jak on jéj pobłogosławił i prosił Boga, jak ona tego nie zważała, jak potem dzieci jeść płakały, jak ona chciała płótno i na chleb i sól do żyda zanieść, jak to płótno mierzyła do zachodu słońca, wszystko, wszystko wiernie Błażkowéj opowiedziała.

Błażkowa pijąc do niéj wódkę, kiedy wysłuchała, rzekła:

„O moja kochana kumo, żebyście wiedzieli, jaka też i u mnie czasem bieda, bo to i ja mam dzieciska, a mój wystarczyć nie może, a choć i oboje pracujemy, to wszystko jeno się zje — o moja kumo, jeźli ten dziadek do was kiedy zajrzy, powiedzcie mu też, niech i do mnie wstąpi.“

Janowa dobrze każdemu życząca kobieta, Błażkowéj odpowiedziała:

„Moja kumo, jeźli go Pan Bóg do mnie ześle, bądźta pewną że go będę prosić aby was nie minął.“

Błażkowa jeszcze kazała dać po jednym, potem się ściskały, całowały i rozeszły.

Od owego czasu może upłynął tydzień, a może nie, szedł dziadek przez wieś, ten sam dziadek co dla Janowéj o szczęście uprosił Boga i wstąpił do niéj; — ona kobiecina nie wiedziała gdzie go posadzić, dziękowała mu, raczyła i obdarzyła, — a kiedy dziadek polecał ją Bogu i wychodził, prosiła go, by jéj kumy Błażkowéj nie minął — a dziadek przyobiecał, że jak będzie z końca wsi wracał to i do niéj wstąpi.

Szedł ubogi dziadek z końca wsi po prożbie, z daleka przez okno ujrzawszy go Błażkowa, nasmarowała swoim dzieciom po glonku chleba, a kiedy dziadek wstąpił do niéj, ona czemprędzéj poodrywała im chleb od gęby i ubogiemu dziadkowi oddała.

„Bóg zapłać“, rzekł dziadek: „abyś, jak co zacczniesz robić do zachodu słońca ledwie skończyła“ — i wyszedł.

Błażkowa mając naszykowane płótno do mierzenia, już wyciągnęła z kąta łokieć, i już, już mierzyć miała, kiedy dzieci pić zawołały i jéj się saméj strasznie pić zachciało — aby nie stracić wiele czasu,

na jednéj nodze pobiegła do zdroju z konewką po wodę, ale jak przyniosła konewkę, pobiegła po drugą, jak przyniosła drugą, pobiegła po czwartą, dziesiątą, i tak do zachodu słońca bez potrzeby wodę nosiła.

Tym ubogim dziadkiem miał być pono Piotr święty.

J a b ł k o.

Bajka Franciszka Morawskiego.

Prześliczne jabłko małpa zerwała —
I wziąwszy je w łapek dwoje,
I skakała i wołała:
Jabłko to jest moje.

Kiedy w tem Henryś zwinny jak łasiczka,
Wyrwie je małpie i pyszny z zdobyczy,
Lata i woła i krzyczy:
Jabłko to jabłkiem Henryczka!

Ale zaledwie na pół je rozłupi,
Patrzy, aż wewnątrz sprosny robak leży,
Co szydząc rzecze: pysznyś jest a głupi,
Jabłko to do mnie należy!

Czy słyniesz z wdzięków, czy też berłem władasz,
Czy do dzieł wielkich rozum się uzdatni —
Zbyt krótko dar twój posiadasz;
Robak właściciel ostatni.

Powieść

o ubogim rębaczu i bogatym skąpcu.

Posłuchajcie kochane dzieci opowiadania, które wam opowiem. Będzie tu mowa o rębaczu, który był wprawdzie ubogim, ale zarazem poczciwym, pracowitym i dobroczynnym; i o lichwiarzu, *) który posiadał wielkie bogactwa, ale był złym, niegodziwym człowiekiem, który oszukiwał ludzi i nigdy nic nie dał żadnemu ubogiemu. Który wam się będzie bardziéj podobał.

1) Poczciwy rębacz.

Dawnemi czasy mieszkał w małéj wiosce, położonéj wśród gór karpackich, ubogi rębacz, któremu było imię Maciéj, a nazwisko Siekiera.

Ubogi Maciek Siekiera był człek sprawiedliwy i rzetelny. Pracował od rana do wieczora w czoła pocie, aby zapracować chleb powszedni dla dzieci, żony i siebie. Za każdą razą, zanim się jął ciężkiéj pracy tak się modlił do Boga: „O dobry Boże! błogosław mą pracę, i daj nam dziś nasz chleb powszedni. Daj nam tylko tyle ile potrzeba koniecznie do życia. Oświeć mnie i żonę moją Agatę, abyśmy wychowali dobrze na chwałę Twoją a pożytek ludzi nasze dzieci. Błogosław im, aby były posłuszne, cnotliwe i aby wyrosły na porządnych ludzi, choćby tylko jak ja drzewo rąbały.“

*) Lichwiarz znaczy tyle co oszukaniec, który pożycza pieniądze za bardzo wysoki procent.

Skromnym był Maciek w prożbach i życzeniach, to też nigdy mu jeszcze nie zabrakło chleba dla siebie i rodziny.

Raz jednakże popadł w wielką nędzę, tak iż się zdawało, jakoby Bóg chciał jego zaufanie i cierpliwość wystawić na próbę.

W poblizkiej wiosce mieszkał Zdzierski, człowiek bogaty, który handlował zbożem i oszukiwał, a przytem był twardego serca, skąpym i niemiłosiernym dla ubogich. W jego lesie ścinał Siekiera drzewa za bardzo małą, psią można powiedzieć zapłatę. Raz lichwiarz ów Zdzierski wytrącił rębaczowi parę groszy z tygodniowego zarobku, a przytem wyzywał Maćka, mówiąc: „Ty leniwcze, twoja robota jest pateracka i tak niegodziwa, żeś nie zasłużył ani na łyk wody. Zato musisz mi tydzień darmo robić, a nie to cię odpędzę, i nie dam ci żadnéj roboty.“

Nie było to prawdą, gdyż Maciek pracował bardzo pilnie i nie był próżniakiem, ale gorzéj jeszcze było, że srogi lichwiarz zatrzymał część i tak już szczupłego zarobku. Siekiera atoli tak myślał: „I Zbawiciel świata wiele czynił, za co nie odebrał nagrody, ani nawet podziękowania, jakżeż więc ja grzeszny człowiek mogę się co lepszego spodziewać.“

Na drugi tydzień poszedł Maciek do lasu i ścinał dęby, buki i jodły, i pracował cały tydzień, aż mu się pot lał z czoła.

Po tygodniu udał się rębacz do Zdzierskiego z prośbą, aby mu przynajmniéj za przeszły tydzień wyplacił zatrzymane pieniądze. Ale ten wyśmiał go i mówił mu, aby przyszedł kiedy indziéj, bo teraz nie ma czasu gdyż zajęty jest wielce sprzedżą zboża, a że zboże zdrożało więc musi sam doglądać łado-

wania i być przy mierzeniu. Podobnych wymówek miał ów niegodziwy skąpiec zawsze pod dostatkiem, za każdą więc razą odprawił biednego rębacza z niczem.

Nędza w chacie Maćkowéj stawała się z dnia na dzień większą. Nakoniec mieli już tylko Siekierowie bochenek grubego chleba, a z resztą ani trochę mąki, okrasy lub czegokolwiek do jedzenia i ani grosza pieniędzy.

Biedny rębacz kiedy pomyślał o téj nędzy, jaką ponosiła jego rodzina, to mu aż pot kroplisty występował na czoło.

Nadeszła noc. Agata, żona Macieja, ugotowała z reszty chleba ciepłéj polewki i rozdała między dzieci. Potem zmówiła z niemi zwykłe wieczorne modlitwy i położyła je spać. Ach cóż ja jutro pocznę, pomyślała, gdy dzieciszczka się obudzą i będą jeść wołały.

Rychło rano wstał już rębacz, a wyszedłszy przed chatę klęknął i modlił się gorąco z duszy i serca całego prosząc Boga o zlitowanie. „O kochany Boże!“ błagał, „wzrusz serce tego bogacza, aby mi wypłacił co mi się należy, żeby moja żona i dzieci z głodu nie pomarły.“

Jeszcze się modlił Maciek, kiedy usłyszał w chacie głosy, które do głębi duszy go przeraziły. Wkrótce wyszła Agata z izby z trojgiem dzieci, mówiąc: „Pobłogosław nam, kochany Macieju, zanim z głodu umrzemy.“

Jagusia, najstarsza córka, bardzo miła, posłuszna i dobra dziewczynka, uklękła obok matki i tak się odezwała: „Modliłam się gorąco dziś do Boga. Ach ojcze, daj mi chleba, bo mi się chce bardzo jeść.“

Jaś, który już ochoczo brał się do pracy, płakał mocno i wcale nie chciał się w smutku utulić. „Ach już trzy dni“, mówił, „jak bardzo mało dostałem chleba, więc też już nie mogę pracować. Ach taki jestem słaby, tak mi mdło, i wielki głód czuję w brzuchu.“

Nawet najmłodsze dzieciątko, które Agata na ręku trzymała, wyciągało rączki do ojca, wołając: „Tata, tata, leba, leba“, gdyż chleba jeszcze nie mogło dobrze wymówić.

Ten płacz, wyrzekania i prożby o chleb rozdzierały serce nieszczęśliwego rębacza, tak że nie wiedział co począć z rozpaczy. Pozostać nie mógł tu dłużej, tylko musiał iść w świat szukać pomocy.

Wziął tedy kij w rękę, przywdział na się sukmanę, wsadził kapelusz na głowę i tak się odezwał do żony. „Jeszcze raz się udam do Zdzierskiego i będę go na kolanach prosił, aby coś, choć tylko parę dał groszy. A wy miłe dziatki módlcie się tymczasem do Jezusa, który bardzo kocha dobre dzieci i nie dozwala, aby z głodu pomarły. Módlcie się tylko serdecznie, a Bóg wysłucha waszych modlitw. Skoro tylko co dostanę, to natychmiast przybędę, a wtedy nie będziecie cierpiały, moje dzieci głodu. Oby mi Bóg pobłogosławił.“

Ze łzami w oczach mówił poczciwy Maciej te słowa, a potem ucałowawszy każde dziecko, udał się pospiesznym krokiem do sąsiedniej wioski.

2) *Lichwiarz wypędza Macieja.*

Zdzierski siedział przy stole, a obok niego leżało kilkanaście worków z pieniędzmi, na które spoglądał pełen rozkoszy. Wysypywał na stół złote i śrebrne

pieniądze, a rachując je powtarzał przy każdym pieniądzu: „Musisz się dwanaście razy pomnożyć.“

Wtem zbliżył się do okna ubogi żebrak, stary, chorowity kaleka, który już sobie nie mógł zarobić ani grosza i prosił czule bogacza, aby mu choć jeden grosz darował.

Skąpiec powstał i tak zaczął krzyczeć: „A że też przed wami, nieszczęsne powsinogi, nie ma człowiek i jednéj chwili wolnéj; a te jałmużny które daję to mnie jeszcze zupełnie zrujnują, iż będę musiał także w końcu żebrać. Wynoś się czemprędzéj ty nygusie, darmozjadzie, bo cię każę wyszczuć psami.“

Ale żebrak nie dał się ustraszyć tylko stał przy oknie i błagał na nowo: „Bądź panie miłosiernym, i daj mi grosz jeden, zmiłuj się, zmiłuj nad kaleką, który nic sobie nie może zarobić.“ Wtedy zawołał skąpiec: „Już mam po uszy tego pisku“, a otworzywszy okno rzucił żebrakowi fałszywą monetę, za którą ani kawałka suchego chleba nie mógł sobie ubogi kupić, a potem usiadł do stołu i zaczął na nowo rachować dukaty i talary.

Żebrak stał jeszcze przy oknie i spoglądał groźnem okiem do pokoju. Wtem przyszedł ubogi rębacz Maciéj Siekiera, a wszedłszy do izby i pochwaliwszy Pana Boga, upadł na kolana, a wznosząc ręce do góry, tak się odezwał z płaczem: „O panie daj mi parę groszy z mego zarobku, bo inaczéj moja żona i dzieci z głodu umrzeć będę musiały. W imię wszechmogącego Boga błagam cię panie nie bądź dla mnie tak okrutnym i nie zatrzymuj mego zarobku, a Bóg ci będzie błogosławił.“

Tu już lichwiarz nie mógł powstrzymać złości, schwyciwszy więc kij w rękę, zakrzyknął: „Pójdziesz

zaraz do lasu, ty próżniaku jakiś, który się jeno ciągle wałęsasz a nic nie robisz.“ Wymówiwszy te słowa uderzył rębacza przez plecy, a gdy tenże uciekł z izby, to go jeszcze lichwiarz gonił i bił. Wtem ów zebrak, który stał przy oknie, wstrzymał Zdzierskiego, a nie był to już żebrak, ale zakonnik, trzymający krzyż w ręku, i ubrany w brunatny habit, z paciórkami u pasa.

Rębacz zadrżał na całem ciele, mówiąc do siebie: „Boże zlituj się nade mną. To jest mnich, który pokutuje w Czarnéj Górze.“ Lichwiarz zaś udał się czemprędzéj do izby.

Mnich zaś tak się odezwał do wyrobnika: „Nie bój się dobry człowieku, a bądź zawsze jak dotąd poczciwym, to ci w końcu będzie się dobrze powodziło.“ Potem wyjął z habita jakiś topor, a podając go Maciejowi, tak mówił: „Weź ten topór, idź do lasu i ścinaj drzewa, a wrócisz do żony i dzieci z bogatą nagrodą. Dopóki będziesz w lesie, to będę o twéj żonie i dzieciach pamiętał, aby z głodu nie umarły. Módl się, pracuj, bądź sprawiedliwym i rzetelnym, a i nadal będę się tobą i twoją ubogą rodziną opiekował.“

Maciek nie wiedział, co mu się stało. Wziął topór od mnicha i czem prędzéj pospieszył do lasu, aby tam wypełnić, co mu zakonnik nakazał.

Skąpiec zaś w izbie, siedząc między worami złota i śrebra, usłyszał głos następujący: „Umrzesz gwałtowną śmiercią nieszczęsny człowieku, jeżeli się nie poprawisz i jeżéli nie będziesz udzielał z twych skarbów ubogim.“

Potem wszystko zniknęło, tylko kłęby kurzu toczyły się na dworze. Wielki pies na łańcuchu

wył długo przeraźliwie i nie chciał się wcale uspokoić. Po małéj chwili ochłonął Zdzierski ze strachu i zaczął szydzić z przestrogi. „To wszystko tylko przywidzenie“, mówił sam do siebie, „w głowie mi się zawróciło od rachowania pieniędzy, zkądby się tu wziął mnich.“ I zaczął znowu rachować, jeszcze zapalczywiéj niż przedtém, a za każdym talarem powtarzał: „Zaklinam cię talarze, abyś się o dwanaście razy pomnożył“

I rachował a rachował lichwiarz, i choć już wieczór nadszedł, to on wciąż liczył pieniądze i układał w wory i skrzynie.

3) Jaskinia w Czarnéjgórze.

Maciek cały dzień ścinał sosny w lesie, a pracował tak ochoczo i żwawo, że aż się dziwić trzeba było nad jego pilnością. Jednakże przyrzeczenie mnicha z Czarnéjgory, że bogato obdarzony wróci do domu dotąd się nie ziściło. Smutek ogarnął serce rębacza, gdyż już słońce zaszło i zaczynało być ciemno na dworze, a więc rad nierad musiał się w drogę zabierać, aby podczas ciemnéj nocy nie pobłądził. Zaczął sam sobie czynić wyrzuty: „Dla czegoż zawierzyłem temu mnichowi. Nie dotrzymał mi przyrzeczenia, a więc może to samo zrobił z mą żoną i dziećmi, tak że może już z głodu umierają.“

Czemprędzéj wdział na się sukmanę, wziął w rękę kij i topór, którym bardzo wiele naścinał drzew, tak iż się sam dziwił, że w tak krótkim czasie tyle zrobił, i już chciał bór opuścić.

Wtem zaczęło grzmieć i błyskać, a w krótce zaczął padać deszcz rzęsisty. Maciek szedł jednakże mimo ulewy, aby jak najprędzej przybyć do swoich.

Miłość żony i dzieci, oraz obawa, co się z nimi stało, dodawała mu odwagi i przyśpieszała jego kroki.

Wtem nagle błysnęło i wnet tuż obok niego uderzył piorum w stary dąb wypruchniały, w skutek czego Maciéj przerażony schronił się do lasu, ale że było ciemno więc wśród licznych dróżynek zabłądził. Widział, że przyjdzie mu spędzić noc w lesie. Zaczął płakać i wyrzekać, nie tak o siebie, jak raczéj o dzieci i żonę się kłopocąc: „Ach biedne dzieci i żona dzień cały nie jadły, a teraz jeszcze są pełni obawy, co się ze mną stało.“

Nie wiedział sobie inaczéj poradzić jak to, że tak siebie jak i żonę z dziećmi polecił opiece Ojca niebieskiego. Padłszy na kolana obok rozłożystego dębu modlił się gorąco i błagał o pomoc dla siebie i rodziny.

Wtem zaczęła się zwolna uciszać burza, chmury zaczęły się rozchodzić, deszcz przestał padać, i tylko w dali było słychać odgłos piorunu Wkrótce wyjrzał z za chmury księżyc i oświecił las jodłowy. Maciek po księżycu poznał, że już północ musi być niedługo. Ale jakże się rębacz przeraził, gdy spojrzawszy naokół, widział, że się znajduje obok Czarnejgóry, słynącéj naokół, że tu miało coś straszyć i pokutować. Księżyc oświecał łagodnem światłem ponurą skałę, na któréj widok dreszcz przechodził ciało Maćka, a zdawało mu się, że z wnętrza góry dochodzą go jakieś odgłosy.

Przelękniony zaczął się żegnać i mówić pacierze, prosząc Boga, aby go strzegł od wszelkiéj przygody.

O téj Czarnogórze krążyło następujące w téj okolicy między ludem podanie. Więcéj niż sto lat temu miał stać na téj górze zamek, w którym mieszkał

straszliwy rozbójnik. Ten rabował i łupił kościoły i klasztory, zabijał i odzierał podróżnych, a wszystkie skarby w złocie, śrebrze i drogich kamieniach przechowywał w podziemnych sklepach swego zamku. Po jego śmierci słychać podobno w głębi góry wycie wilka, ale nikt jeszcze z ludzi nie znalazł wejścia do tych podziemnych pieczar. Powiadają, że to ów rozbójnik został zamieniony w wilka, aby strzegł ogromnych skarbów. Od czasu do czasu ukazuje się na téj górze widmo zakonnika, którego ów rycerz, za życia napadłszy pewien klasztor, okropnym sposobem zamęczył. Tylko duch mnicha wie, gdzie otwór do jaskini. Często się zdarza, że mnich z tych skarbów wspiera jaką ubogą, poczciwą rodzinę; a wtedy wilk na pewien czas jest spokojniejszym, i wyje dopiero przeraźliwie w rocznicę jakiego morderstwa, które rozbójnik za życia popełnił.

Rębacz Maciej stał przed górą, przypominając sobie z trwogą w sercu podanie, które często słyszał. Zdawało mu się, że słyszy w głębi jaskini przeraźliwe wycie wilka. „Zapewne znowu przypada jaka rocznica niegodziwości rozbójnika“, pomyślał, „bo wilk okropnie ryczy. Boże bądź mi pomocą. Nie chcę tu mieć nic do czynienia z temi okropnościami. Chciałbym być jak najprędzéj w méj chatce, bo może ów mnich zapomniał o żonie i dzieciach, a więc cierpią głód okropny. O Boże, Boże!“

Chciał już się oddalić, gdy nagle o jakie dziesięć kroków zobaczył mnicha. Możecie sobie wystawić jaki strach zdjął rębacza na ten widok. Jednakże wkrótce minęła trwoga, gdyż oblicze widma nie było srogie, ale owszem łagodne i łaskawe. Przytem już był Maciek poznał owego zakonnika na

podwórzu Zdzierskiego i przekonał się, że poczciwym ludziom żadnéj krzywdy nie czyni.

Wtem skinął mnich na Macieja ręką, znak mu dając, aby szedł za nim, a kilka razy się obejrzał, aby zobaczyć, czy postępuje za nim. Maciek, nabrawszy odwagi, postępował za widmem o jakie dziesięć kroków. Przy skale zatrzymał się mnich, a zupukawszy po trzykroć w skałę, zawołał: „Drzwiczki, otwórzcie się!“ I w téj chwili była widoczną w skale szczelina, przez którą mógł wygodnie wejść dorosły człowiek. Mnich wszedł, a gdy już był wewnątrz zawołał: „Drzwiczki, zamknijcie się“, a nie było widać szczeliny. Rębacz stał i patrzał na prawo i na lewo, ale nigdzie nie mógł zobaczyć ni śladu jakiegokolwiek otworu.

„Cóż to ma znaczyć to szczególne zjawisko?“ pomyślał pełen grozy i już chciał się oddalić. Ale wtem wpadło mu na myśl, aby podobnie jak mnich uczynił. Zapukał tedy z lekka po trzykroć w skałę i rzekł: „Drzwiczki, otwórzcie się!“ i w téj chwili ujrzał znowu szczelinę. Już nie miał takiéj, jak z początku obawy, poleciwszy się tedy Bogu, wszedł w otwór, a kiedy już był wewnątrz skały, zawołał: „Drzwiczki, zamknijcie się“, a wnet zawarła się skała z szczególnym łoskotem.

Lecz jakiż widok przedstawił się oczom rębacza. Ujrzał się w podziemnéj pieczarze, niby w pięknéj sali, oświeconéj miłem światłem różowem. Naokół stały skrzynie, pełne złota, srebra i drogich kamieni. Było tam bez liku przeróżnych kosztowności. Pieniędzy stały pełne beczki. Nie widział nikogo Maciéj, ani wilka, ani ducha, tylko jakiś łagodny głos odezwał się po chwili: „Weź z tych skarbów tyle,

ile ci potrzeba, i daj z tego część ubogim i na kościoły, gdyż to są zrabowane skarby klasztorne."

Ubogi rębacz nie dał sobie tego dwa razy mówić, ale wkrótce napełnił pieniędzmi trzy kieszenie; jednę dla siebie, drugą dla ubogich, a trzecią dla kościołów. Potem podziękował serdecznie niewidzialnemu duchowi i tak się odezwał: „Będę się szczerze modlił, pilnie pracował, i całe życie będę poczciwym."

„Przyjdź znowu", odezwał się głos z głębi pieczary, a Maciek skinął głową na znak, że to uczyni. Potem zapukał w skałę mówiąc: „Drzwiczki, otwórzcie się", a gdy już wyszedł, rzekł znowu: „Drzwiczki zamknijcie się", a skała się zamknęła.

Już zaczęło świtać, kiedy rębacz wyszedłszy z wnętrza skały spieszył czem rychléj pełen radości w sercu do domu.

4) Radość w domu Macieja.

Gdy już był Maciéj blizko domu, wtedy wyskoczyła mu naprzeciw Jagusia i tak mówiła: „Ach przecież raz idziesz do nas, kochany ojcze. Mieliśmy wielki o ciebie kłopot, ja całą noc spać ze strachu nie mogłam."

„Tak, tak", odezwał się Jaś, „byliśmy w strachu, bośmy myśleli, że niedobry Zdzierski kazał cię ojcze zamknąć do sklepu, albo jakie inne złe cię spotkało."

„Bogu dzięki! że cię znowu widzę", odezwała się Agata, „wszak już się to więcéj nie stanie, mój kochany Macieju, że mnie i dzieci nie pozostawisz w nędzy, i nie będziesz tak długo gdzieś się bawił."

Poczciwy rębacz niepomału się zawstydził, słysząc te słowa, ale po małéj chwili, tak rzekł do

żony: Masz słuszność, Agato, ale i mnie przyznasz słuszność, gdy się dowiesz co mnie spotkało. Ale przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, jakeście tu żyli. Wyglądacie jakoś bardzo zdrowo, jakbyście mieli wszystkiego pod dostatkiem. Nawet mała Jagienka, którą trzymasz na ręku, wygląda czerstwo, jakżeż się to stało, że nie cierpicie głodu.“

Matka się uśmiechnęła, spoglądając z rozkoszą i miłością na małą dziecinę, a inne dzieci podniosły ręce do góry, jakby jeszcze raz chciały dziękować Bogu za doznane dobrodziejstwo. Jagusia tak mówiła: „Czy nie prawda, ojcze, że chciałbyś wiedzieć, jak nam się powodziło. Mieliśmy jadła dosyć, a nawet zostawiliśmy dla ciebie jeszcze, bo mówiliśmy sobie, że może ojciec przyjdzie głodny i strudzony, więc chciałby się posilić.“

„Ja opowiem, ojcze, jak się to stało“, zawołał Jaś, przerywając siostrze. „Był tu wczoraj u nas jakiś pobożny zakonnik. Tam stał około okna, kiedyśmy płakali, gdyż nam się bardzo jeść chciało, a nie było ani okruszyny chleba. Ów mnich patrzał oknem i tak się zapytał łagodnym głosem: „Dla czegoż płaczecie, biedni ludzie!“

Na to rzekła matka: „Ach mój mąż poszedł i nie wraca, i nie wiem gdzie się znajduje, a ja potem rzekłem: Jeżeli ojciec nie przyjdzie, to my z głodu umrzemy.

Ojciec przyjdzie, odpowiedział mnich, a tymczasem dam wam nieco pożywienia. Wtem wyjął jakieś zawiniątko i położył na okno bochenek pięknego chleba, masła i słoniny. Zakrzyknęliśmy z radości, a kiedyśmy chcieli zakonnikowi dziękować, tu go już nie było. Wszak tak było, matko!“

Jagusia rzekła: „Tak, tak“, a matka dodała: W rzeczy saméj tak się stało, jak Jaś opowiedział.“

Rębaczowi łzy się z oczu puściły, a uściskawszy żonę i dzieci opowiedział nawzajem swoje przygody, a potem klęknął i dziękował Bogu za doznaną pomoc, upominając dzieci, aby się zawsze szczerze do Boga modliły, pilnie pracowały, poczciwie żyły i wspierały bliźnich, a będzie im dobrze na świecie.

Dzieci przyrzekły, że będą tak czynić, a ojciec i matka powiedzieli: „Amen.“

5) Lichwiarz ponosi zasłużoną karę.

Poczciwy rębacz Maciéj podzielił rzetelnie pieniądze na trzy części, z tych jednę zatrzymał dla siebie, a drugie dwie rozdał między ubogich i na kościoły.

Mógł był żyć za te pieniądze, nic nie robiąc, ale Maciek jako człek pracowity brzydził się próżniactwem. Chodził więc co dzień do lasu skąpego bogacza Zdzierskiego, chcąc sobie co zarobić i aby się nie stać ciężarem mnicha z Czarnéjgóry.

Gdy już nie miał ani grosza, udał się do Zdzierskiego, aby mu wypłacił zarobek. Ten siedział przy workach z pieniędzmi, a wciąż rachował, mówiąc do każdego talara, który przechodził przez ręce: „Musisz się o dwanaście razy pomnożyć.“

Ujrzawszy rębacza i usłyszawszy jego prożbę, rozgniewał się i wrzasnął: „Ruszaj do kata, ty próżniaku“, i wypędził go za drzwi. Zasmucił się Maciek, i tak się odezwał: „To mi przynajmniéj pożyczcie, panie, waszéj miary, którą mierzycie ubogim ludziom zboże. Jutro oddam wam ją z podziękowaniem.“

Zdzierski, aby się pozbyć rębacza, dał mu miarę, mówiąc: „Tu masz, ale jeżeli mi jéj jutro nie oddasz, to przyjdę do ciebie z moim wielkim brytanem, którego poszczuję na twe dzieci, aby je rozszarpał, a wtedy nie będziesz miał tyle kłopotu.“ Jeszcze coś mrucząc zamknął drzwi skąpiec i znowu zaczął rachować pieniądze.

Rębacz Maciek udał się do najbliższego kościoła, a klęknąwszy tak się modlił: „Kochany Boże, zmuszony jestem udać się do czarnogórskiéj skały, ale Ty wiesz dobrze, że nie chciwość i zuchwalstwo, ale niedostatek i troska zmuszają mnie do tego. Bądź mi pomocą Boże, i nie opuszczaj mnie i tą razą.“

Potem wziąwszy miarkę, któréj pożyczył od lichwiarza, udał się do Czarnéjgóry. Tu zapukał po trzykroć w skałę i zawołał: „Drzwiczki, otwórzcie się!“ a natychmiast powstała w skale szczelina, tak wielka, że człowiek mógł wnijść w środek. Rębacz wszedł do środka i znowu powiedział: „Drzwiczki zamknijcie się!“ a skała z szczególnym łoskotem się zamknęła.

Maciéj znajdował się znowu w pieczarze, a naokół stały skrzynie z klejnotami, złotem, srebrem i perłami w beczkach; w kadziach były pieniądze, a naokół stały drogie naczynia. Po małéj chwili odezwał się rębacz: „Nie bierz mi tego za złe, dobry duchu, że znowu przychodzę. Bogaty skąpiec nie chce mi zapłacić za robotę, a ja znowu cierpię nędzę z żoną i dziećmi. Ale żeby już tu więcéj nie przychodzić, więc przyniosłem z sobę miarę. Będę się starał, aby wyżyć za te pieniądze i wychować dzieci na porządnych ludzi.“

Jakiś głos się odezwał: „Bierz i dziel rzetelnie.“

Ośmielony Maciéj wziął jednę miarę pieniędzy dla ubogich, jednę dla kościołów, a jednę dla siebie. Kiedy skończył mierzenie, wtedy podziękował i przyrzekł na nowo, że będzie się szczerze modlił, pilnie pracował i żył poczciwie.

Potem udał się do skały, zapukał, a gdy wyrzekł: „Drzwiczki, otwórzcie się“, wyszedł znowu na Boży świat.

Uszczęśliwiony rębacz udał się czem prędzéj pełen wesołości w sercu do rodziny.

Nazajutrz poszedł Maciéj rychło do kościoła i tam włożył część z skarbu, przeznaczonego dla kościołów do skarbony, potem obdzielił biednych w okolicy, stósownie do potrzeby. Jednym dał złoty, innym talara, niektórym sprawił ubiór, innym kupił zboża — słowem wspierał ubogich, jak uważał, że to będzie dla nich najlepiéj.

Miarkę odniósł na czas oznaczony bogatemu skąpcowi i podziękował pięknie za pożyczenie. Lichwiarz wziął miarkę do ręki i patrzał między szpary, aby się przekonać, co mierzył rębacz. Wtem wypadł śrebrny pieniądz. Zadziwił się Zdzierski i zadrżał z chciwości, wówiąc: „Rębacz mierzył pieniądze.“

Ów śrebrny pieniądz zatrzymał śię między szparami, które skąpiec umyślnie porobił, aby mierząc ubogim zboże, mógł choć nieco jeszcze zboża im zabrać.

Lichwiarz pobiegł czemprzędzéj, aby poszukać rębacza. Spotkał go w lesie, pracującego ochoczo. „Łotrze!“ krzyknął Zdzierski, chwytając przerażonego Macieja za gardło, „tyś mierzył pieniądze, przyznaj się, albo umrzesz natychmiast.“

Rębacz nie chciał długo nic wyznać, ale gdy dziki, niegodziwy lichwiarz dobył noża, chcąc przebić Macieja, wtedy ten ze strachu opowiedział o wszystkiem. Ucieszył się wielce skąpiec, już naprzód rachując ogromne skarby. Macieja przymusił, żeby mu towarzyszył do Czarnogóry.

Zabrawszy tedy mnóstwo worków udali się do skały. Maciéj szedł, ale w duchu modlił się do Boga, mówiąc: „Panie, Ty wiesz, że jestem niewinnym.“

Kiedy już stanęli przy Czarnéjgórze, wtedy rzekł lichwiarz: „Nie potrzebujesz ze mną wchodzić, już ja się z tobą rzetelnie podzielę.“ W sercu atoli już przemyśliwał nad tem, jakby zgładzić Macieja ze świata, żeby sam posiadł wszystkie skarby.

Skąpiec zapukał śmiało w skałę i zawołał: „Drzwiczki, otwórzcie się!“ a natychmiast była w skale szczelina, którą wszedł Zdzierski, a potem rzekł znowu: „Drzwiczki, zamknijcie się!“ i skała się zawarła z dziwnym jakimś łoskotem.

Przed skałą stał rębacz i mówił pobożnie Ojcze nasz.

W pieczarze zaczęły się dziać straszne rzeczy. Bogaty skąpiec myślał już, że jest panem wszystkich bogactw, które widział, grożąc śmiercią rębaczowi. Wtem wypadł ku niemu wilk z strasznym rykiem, a skąpiec zaczął uciekać, lecz w strachu zapomniał jak wołać, aby się skała otworzyła. Wtem wilk go pochwycił, a wkrótce lichwiarz nędznego ducha wyzionął.

Rębacz słyszał przeraźliwe wycie w jaskini i drżał z przestrachu, przeczuwając nieszczęście. Kiedy już ucichło wycie wilka i krzyk skąpca, wtedy zapukawszy z lekka w skałę, zawołał: „Drzwiczki, otwórzcie się!“

Gdy się otworzyła skała, wtedy zobaczył Maciej rozszarpane ciało skąpca, a skrzynie z srebrem i złotem, beczki z pieniędzmi i wszelkie kosztowności zapadały się zwolna w ziemię.

Drzący z bojaźni Maciej przypomniał sobie słowa mnicha, wyrzeczone do skąpca: „Umrzesz gwałtowną śmiercią, nieszczęsny człowieku, jeżeli się nie poprawisz, i jeżeli nie będziesz udzielał ubogim ze twych skarbów.“

Szybkim krokiem pospieszył poczciwy rębacz do pobliskiego kościoła, aby się pomodlić za duszę Zdzierskiego.

Wielki majątek skąpca nabył rzetelny człowiek, a ten płacił regularnie zarobek Maciejowi. Rębacz niedługo przyszedł do takiej zamożności, że sobie mógł kupić spory kawał roli, a przez usilną pracę żył z rodziną szczęśliwie. Dzieci wychował na porządnych ludzi.

Opowiadacz.

Otóż słyszałyście, kochane dzieci, opowiadanie. Nie chodzi tu wcale o to, czy ono jest prawdziwem, dość na tem, że takie istnieje między ludem podanie. Ale głównie chodzi tu o naukę z tego podania, a nauka ztąd taka, żebyście się starały być dobremi, miłosiernemi dla ubogich i naśladowały poczciwego Macieja, a nie były takiemi, jak ów lichwiarz.

Dzieci.

O tak! będziemy się starać żyć pobożnie, poczciwie, pracowicie.

Opowiadacz.

Niechże was Bóg za to błogosławi i utwierdza w dobrych zamiarach.

(Podług pism autora: Jaskini Beatusa.)

Dzieci, bądźcie grzecznemi!

Pasło raz kilku chłopców w polu świnie. Wtem zbliża się do nich poważny zakonnik, a pochwaliwszy Pana Boga i pozdrowiwszy ich mile prosił uprzejmie, aby mu pokazali drogę do poblizkiego miasteczka, gdyż zabłądził.

Chłopcy zamiast pokazać zakonnikowi drogę, jeszcze się śmiali z niego, a żaden nie chciał zaprowadzić księdza na prawdziwą drogę. Był tam jeden między nimi najmłodszy, któremu było imię Felix.

Ten tak się odezwał: „Kiedy nikt nie chce, to ja cię ojcze zaprowadzę.“ Jakoż poprosiwszy pastucha, aby dał baczenie na jego trzodę, poszedł ze zakonnikiem, mimo odradzań towarzyszy.

Bóg wynagrodził uprzejmość dobrego i grzecznego chłopczyka, gdyż ów zakonnik wdawszy się z nim w rozmowę, poznał że Felix jest bystrym, uzdolnionym chłopcem. Poszedł więc do jego rodziców prosząc, aby oddali syna do klasztoru, aby się wyćwiczył w naukach. Tak więc mały Felix już nie wrócił do świń, ale poszedł do klasztoru. Tu uczył się bardzo pilnie, był pobożnym, cnotliwym. Po ukończeniu nauk został księdzem, następnie biskupem, kardynałem a w końcu papieżem. Panował pod imieniem Syxtusa V.

Otóż widzicie, kochane dzieci, jak to dobrze być grzecznym, uprzejmym dla każdego.

W pewnéj wiosce mieszkała wdowa z synem Jędrusiem. Dobra matka napominała zawsze syna, aby był grzecznym do każdego. To też Jędruś przed każdym starszym, czy on był żebrakiem, gospoda-

rzem, panem lub księdzem zdejmował czapkę, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Nawet dla żydów był uprzejmym, i jeżeli go się o co pytali, to im uprzejmie odpowiadał, a broń Boże, żeby z nich szydził lub co podobnego.

Inne dzieci w téj wsi były bardzo niegrzeczne, nieokrzesane, istne rury do barszczu. Ani im się śniło przed starszemi osobami zdejmować czapki, aby pochwalić Pana Boga lub powiedzieć dzień dobry. Nietylko dzieci, ale i starsi byli tam nieokrzesani.

Raz w niedzielę bawiły się dzieci ze wsi całéj na murawie niedaleko kościoła. Wtem przechodzi jakiś podróżny i pyta dzieci, gdzie mieszka ksiądz pleban? Rubaszni chłopcy zaczęli kpić z podróżnego, mówiąc, że im nic do tego. Wtem nadszedł Jędruś, a uchyliwszy czapeczki i pochwaliwszy Pana Boga zapytał, czegoby sobie życzył. Ten powiedział, czego chce, a Jędruś natychmiast go zaprowadził do księdza proboszcza. Ów podróżny tak był uradowany z grzeczności Jędrusia, że mu darował dukata. Dopieroż to chłopaki, dowiedziawszy się o tem, pospuszczali nosy na kwintę. Jędruś uszczęśliwiony pobiegł do matki, pokazując pieniądz i opowiadając, jak go dostał. Uszczęśliwiona matka więcéj z dobrego serca syna, niż z daru, rzekła: „A widzisz Jędrusiu, nie mówiłam ci zawsze, że na grzeczności nikt jeszcze nie stracił, i że zawsze dla każdego należy być uprzejmym.“

Owym zaś chłopakom dostało się jeszcze co gorszego, bo niedługo wyszedł ksiądz pleban z podróżnym, a zobaczywszy chłopaków, tak się odezwał: „O wy niegrzeczne i niedobre dzieci, które nawet tak małéj prożby nie chciałyście wypełnić, aby temu

panu wskazać, gdzie mieszkam. Otóż wiedźcie, że to jest pan i dziedzic naszéj wioski. A wyście tak byli niegrzeczni dla niego.“

Trudno opisać przestrach i wstyd chłopców, a możecie sobie wystawić jak było ich rodzicom, gdy się o wszystkiem dowiedzieli.

Dziedzic zapytał o Jędrusia, a ksiądz proboszcz nie mógł się go dosyć nachwalić. Udali się obydwaj do matki Jędrusia, i pochwalili bardzo matkę i syna, matkę, że dobrze chowa dziecię, a Jędrusia, że jest matce posłusznym. Jędrusiowi tak było lekko i wdzięcznie na sercu, jak nigdy jeszcze na świecie. Pan przyrzekł, że się zajmie losem matki i syna. Jakoż dotrzymał słowa, bo darował jéj kawałek roli, chatę kazał wyporządzić, i dał kilkadziesiąt złotych na kupienie krowy, gdyż wdowa ta była tak ubogą, że nawet krowy nie miala.

Jędrusia po ukończeniu szkoły, dał pan uczyć handlu, gdyż chłopiec wielką do kupiectwa pokazywał ochotę. Ponieważ był zawsze grzecznym, więc chętnie wszyscy w tym sklepie kupowali, gdzie Jędruś był kupczykiem.

Po kilku latach za pomocą dobrego dziedzica założył Andrzéj własny handel, a nie mógł nastarczyć on i dwóch uczni, aby zaspokoić kupujących, tak wielu od niego kupowało. To też wkrótce był bogatym kupcem.

Czy myślicie, że Andrzéj będąc bogatym, był mniéj grzecznym, niż kiedy był ubogim? O nie — dla każdego był zawsze z szacunkiem, nikomu nie powiedzial grubiańskiego słowa, a wcale się nie wstydził stanu wiejskiego, z którego pochodził, nie tak jak wielu niestety, co się wstydzą swego pochodzenia.

Matkę wziął do siebie i kochał ją czule, a ta błogosławiła dobrego syna.

Obyście ztąd mili czytelnicy, wzięli naukę, że zawsze trzeba być grzecznym, uprzejmym, a nie grubiańskim, nieokrzesanym. Przedewszystkiem bądźcie, dzieci kochane, grzecznemi dla rodziców i krewnych, a potem dla księży i nauczycieli i wszystkich osób, a mianowicie tych, które są od was starsze wiekiem. Gdy przechodzicie około nauczyciela, księdza, pana lub kogokolwiek, to zdejmcie czapkę i powiedzcie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! a możecie też i dzień dobry, lub dobry wieczór dodać. Nic to wam przecież nie zaszkodzi, bo na grzeczności nikt jeszcze nie stracił. Pamiętajcie, że i wy kiedyś przyjdziecie do lat starszych, a wtedy i wam będzie miło, jeżeli młodsi będą dla was grzecznymi. O jakże jeszcze często po wsiach dzieci są niegrzeczne. Daj Boże, aby się poprawiły i jak Jędruś były grzecznemi.

Jak to dobrze umieć czytać i pisać?

Pewien ubogi wyrobnik miał brata, który poszedł na wędrówkę, a że już 20 lat żadnej o nim nie było wiadomości, więc wszyscy sądzili, że nie żyje. Raz przyszedł list z daleka do wyrobnika, ale nie mógł tego listu przeczytać, gdyż w młodości nie chciał chodzić do szkoły, więc się nie nauczył czytać. Idzie tedy z listem do gościnnego żyda, który był bardzo chytrym człowiekiem. Żyd przeczytał ten list najprzód pocichu, a potem opowiedział treść

wyrobnikowi. Żyd mówił, że w tym liście stoi, iż brat wyrobnika umarł w pewnem dalekiem mieście na Litwie i zostawił 50 talarów, które ów wyrobnik dostanie, jeżeli się uda do tego miasta.

Ponieważ to miasto było więcej niż sto mil odległe, więc wyrobnik, o ile że się żniwa zbiżały, nie chciał się puścić w podróż. Więc tedy żyd pyta go, czyby mu za 30 talarów nie odstąpił prawa do tego spadku. Wyrobnik z chęcią na to zezwolił, a więc pojechali do miasta, gdzie przed sądem zeznał, iż odstępuje wszelkich praw co do pozostałości po bracie żydowi.

Dopiero po niejakim czasie wydało się, że nie 50, ale 2000 talarów ów zmarły brat zostawił, a które wyrobnik li w skutek tego, że czytać nie umiał, postradał. Ale i owemu żydowi te pieniądze nie wyszły na dobre, bo mu później złodzieje cały majątek ukradli.

Chodźcie dziateczki do szkoły i uczcie się pilnie czytać i pisać.

Mędrsze jaje, niż kura.

Źle to jest kochane dzieci, kiedy w młodocianym wieku i nie wiele jeszcze posiadające rozumu sądzicie, że więcéj umiecie, niż starsze od was osoby. Ile to już razy niejeden młodzik, liznąwszy nieco nauk w szkołach, nauczywszy się parę wyrazów po łacinie w zarozumiałości głupiéj stawia się wyżéj nieraz od znajomych, z którymi niegdyś chodził do wiejskiéj szkoły, a nieraz i na ojca poczciwego z góry spogląda, a matkę to już zupełnie ma za nic. Oj

źle to kiedy młodzież sądzi, że więcéj posiada rozumu od starych i doświadczonych ludzi! Otóż to o takiéj niedowarzonéj młodzieży, która gębę wyżéj nosa nosi i rozumu sobie więcéj, niż ma, przypisuje, mówi się: „Mędrsze jaje, niż kura.“ Przysłowie to dobitnie maluje myśl, jakiéj chce dowieść, boć nie sposób, by jaje rzecz martwa i nieżywa, więcéj rozumu mieć mogło od kury, tak też i młodzik on lub dzieciuch jakżeż może więcéj posiadać rozumu i doświadczenia od starszego wiekiem człowieka, boć paplanie wyrazów po łacinie i różne inne wiadomostki nie dają jeszcze rozumu.

Tak też jeden młodzik, syn poczciwego gospodarza, oddany do szkół, sądził, że jest bardzo uczonym; cenił więc nizko rodziców, i acz nie wiele co umiał, bo w szkołach nic się prawie nie uczył, jednak pod niebiosa mądrość swoją wynosił. Wciąż gadał po łacinie, choć zaledwie kilka tylko wyrazów znał łacińskskich. Lecz umiał sobie poradzić, gdyż każdy polski wyraz kończył na us i prócz tego inne bezrozumne paplał wyrazy — istna papuga. Postępowaniem tém sprawił ów niedowarzony młodzik, że śmiało rzec o nim było można: „Mędrsze jaje, niż kura.“ Lecz niedługo się szydło w worku utai, tak i nieuctwo naszego pana studenta, jak oliwa, na powierzchnią wody wypłynęło. Razu pewnego kosił ojciec groch w polu, zapytał tedy synala, jak też to się zowie po łacinie. Student pocznie gadać: „Siejatus grochatus, siekatus grochatus, grabiatus grochatus.“ Ojciec cieszył się z mądrości syna mówiąc „Laboga jakie to mądre“, lecz matka roztropna kobieta dostrzegła oszukaństwa i rzekła: „Ady to nasza mowa, jeno tak aby na końcu przekręcona.“

Zawstydził się synal a ojciec widząc, że z syna gotów być jaki oszust lub wisielak, już nie oddał go więcéj do szkół, lecz w domu począł przyuczać do pługa, cep i radła. Tak by się godziło wszystkim uczynić panom studentom, co to w szkołach się nic nie uczą a w domu usiłują się popisać mniemaną mądrością, a kiedy zaświadczenia liche, to profesory temu winne, na których też i inny młodzik niedouczony a zarozumiały wielce nieustwo swe spędził. Zdarzenie zaś to było takie.

Pewien posiedziciel wioski dwoje miał dzieci. Starszy imieniem Gustaw był to chłopak wielce zarozumiały, który na wszystkich z góry spoglądał. Już kilka lat uczęszczał do szkół, przecież postępy czynił nadzwyczaj małe, gdyż nic się prawie nie uczył i tylko na próżniactwie, kartach, cygarach czas trawił. Udawał chorobę często, czyli jakto dzisiejsi zwią gymnazyaści wcale niepięknym owszem brzydkim, jak rzecz sama, wyrazem, szwencował, a kiedy przybył na święta do domu, to dopiero na całe gardło rozpowiadał, jak pilnie pracuje, ile to umie i. t. d. Mianowicie matce napchał głowę swą mniemaną mądrością, tak że ta w prostocie serca sądziła, że syn jéj wszystkich przeszedł uczonych, a tymczasem posiadał on tylko bardzo mierne wiadomości. Nakoniec po 10 leciech, kiedy na żaden sposób gimnazym ukończyć nie mógł, dano mu radę odejścia. Zarozumiały młodzik przybywszy do domu głosi, że skończył szkoły i nuże rozpowiadać matce, że teraz czém chce, być może. Wtém ojciec o zaświadczenie prosi, by się przekonać o prawdzie. Tu dopiero zastanowił się nieco Gustaw, lecz po małéj chwili zawołał: „Ej cóż tam zaświadczenia,

profesory osły, to też mi tam głupstwa i wielkie banialuki popisali.“ Zamilkł ojciec na te słowa, lecz słyszał też tę rozmowę młodszy syn Władziu, który dobrze się uczył i roztropnym był chłopcem, ten tedy usłyszawszy te słowa rzekł: „Ale jakżeż Guciu możesz być tak mądrym, kiedy cię osły uczyły.“ Zawstydził się Gustaw, matka się rozpłakała, a ojciec rzekł surowo: „Skończyłeś szkoły a mniéj masz rozumu od tego małego dziecięcia.“ Padł do nóg ojcu Gustaw prosząc o przebaczenie a z czasem wyleczył się zupełnie z nieszczęsnéj zarozumiałości. Po dziś dzień jeszcze dzieje się to nieraz, że uczniowie nie szanują nauczycieli, źle o nich mówiąc, szarpiąc ich sławę, w takim razie niech wspomną na słowa małego Władzia.

Tak jak Gustawowi poszło téż źle innemu młodzikowi, który sądził, że więcéj posiada rozumu od ojca. Otóż to pewien młodzian, wysłuchawszy logiki w szkołach, powrócił do domu swoich rodziców. Na wieczerzą dano cztery jajka. Ojciec owego młodziana zapytał się: jaki pożytek odniósł ze słuchania logiki? Odpowie mu młodzian: „Oto między innemi i ten mam pożytek, że z tych czterech jajek uczynię siedm.“ Ojciec ciekawy nalega, aby syn tę sztukę pokazał. Syn mówi: „Ojcze mój, wszak to prawda, że tu są cztery jajka? gdzie zaś są cztery, tam są i trzy; a że trzy i cztery są siedm, więc tu jest siedm jajek:“ Na co ojciec rzecze do syna: „Dobrze mój synu mówisz, że tu jest siedm jajek: z tych siedmiu ja biorę dla siebie cztery, a tamte trzy dla ciebie zostawiam.“

Zaś początek tego przysłowia: „Mędrsze jaje, niż kura“, ma być podobno taki: Za dawnych czasów jechał sobie pewien Niemiec wozem do dalekich krajów, kto wie może do Polski. Na wozie wiózł z sobę całe gospodarstwo. Nie zapomniał o kurze, która mu niosła jaja. Nie trzeba, że jadąc z góry przydusiło coś kurę, tak że ta utraciła życie. Jaje przecież, które zniosła przed chwilą, ocalało, zadziwiony Niemiec powiedział: „Kura nieżywa, a jaje całe, więc jaje mędrsze od kury.“

Dzieci zadają sobie zagadki.

W Chełmnie nad Wisłą w Prusach Zachodnich wychodzi Przyjaciel Ludu, pismo polskie dla pouczenia ludu polskiego, które i dzieci polskie czytają, a mianowicie jeżeli kiedy Przyjaciel umieszcza zagadki. Otóż raz zebrało się w pewnéj wiosce kilka grzecznych dziatek, a odgadłszy zagadki w Przyjacielu umieszczone, napisały list do redaktora, podając rozwiązania. Ponieważ zbyło im jeszcze nieco czasu więc zaczęły sobie zadawać zagadki, które albo dawniéj słyszały lub czytały w książkach, a nawet niektóre z nich same wymyśliły kilka zagadek.

Pierwszy Staś taką zadał zagadkę: „Widziałem dziś małą krainę, bardzo zaludnioną, w któréj nie rządzi król, ale królowa. Każdy mieszkaniec téj krainy ma ostrą pikę, a śpiewając leci na pola i lasy, zdobywa zamki, wchodzi do sklepów i pije słodkie wino. Z tychże sklepów zabierają ci mieszkańcy mąkę, budują z niéj śliczne komoreczki, które za-

pełniają żywnością, aby mieli co jeść zimą. Gdyby wszyscy ludzie byli tak pracowici, jak ci mieszkańcy, toby nie było ani jednego żebraka na świecie. Co to jest?“

Po małéj chwili już większa część wiedziała znaczenie zagadki, tylko mały Marcinek i Agatka nie mogli zgadnąć, ale przecież po dokładnym namyśle zgadli i oni, co znaczy odgadnijcie i wy mili czytelnicy.

Marcinek powiedział taką zagadkę, któréj się nauczył w szkole:

„Jestem dzwonek, a nie dzwonię,
Zamiast rosy zapach ronię,
Nie na wieży, nie w kościele,
Lecz w ogródku jest nas wiele.“

Tę odgadły zaraz wszystkie dzieci.

Mała Cesia tak się odezwała: „Co to jest: Fitu, fitu pełna skrzynia aksamitu.“

Karólek popisał się z następującą zagadką, którą sam ułożył:

„Białe, zielone,
Potem czerwone.
Miękie, soczyste,
I kamieniste.
Lubisz to dziecię,
A co, zgadniecie?“

Elżbietka wymyśliła taką zagadkę głoskową: „Jest ziemia, ale nie czarna, która się prawie wszędzie znajduje. Odrzuć głoskę z przodu, będziesz miał coś długiego, w gospodarstwie potrzebnego, a jeżelibyś z tyłu głoskę odrzucił, to powstanie ryba.“

Przyszła koléj na Agatkę, ale biedaczka nie wiedziała żadnéj zagadki, dopiero jak jéj ktoś szepnął,

aby się zapytała, co to jest: „Chodzi po dworze i szczeka, może ugryść człowieka.“

Nakoniec i Wicuś się odezwał: „Kto to jest co jak ma wodę, to pije wino, a jak nie ma wody, to pije wodę.“

Ta zagadka zdała się wszystkim najtrudniejszą, więc też łamali sobie wszyscy głowę, a jednak nie odgadli, aż im Wicuś powiedział, że to młynarz, który jak ma dość wody, aby koła młyńskie mogły się obracać może pić wino, bo ma dość zarobku, a jak nie ma wody, to młyn stoi cicho, a więc musi pić wodę.

Staś zadał drugą zagadkę, którą sam wymyślił, a nawet wierszem ułożył:

„Jestem sławna w całym świecie,
Wiele dźwigam na swym grzbiecie.
Drzewo, zboże, polskie zboże,
Co to idzie het za morze.
Nieraz byłam krwią zbroczoną;
Z dzieci polskich wytoczoną.
Miasta, wioski, gaje, bory,
I kościoły, piękne dwory,
Wszystko widzę w mym przechodzie,
Aż nie zniknę w wielkiéj wodzie.“

To była ostania zagadka, a potem się wzięły dzieci do nauki.

Rozwiązanie zagadek, umieszczonych w pierwszéj części niniejszego dziełka.

1. Sól. 2. Rak. 3. Dom: woda, gospodarze: ryby, a kłopociarze: ryby. 4. Rok i dwanaście miesięcy. 5. Wiatr. 6. Siostra brata była żona męża,

a więc szło ich tylko troje, a zatem jeszcze jedno jabłko zostało. 7. Mokrych. 8. Siedm dni w tygodniu. 9. Pod mokrym. 10. Młyn i wiatrak.

Do dzieci.

Ten który napisał niniejszą książkę siedzi już od 11. Czerwca 1863 r. w więzieniu. Nazywa on się właściwie Józef Chociszewski, a wydawał w Chełmnie Nadwiślanina i Przyjaciela Ludu. To ostatnie pismo czytają też chętnie dzieci polskie. Za umieszczenie w Przyjacielu artykułu o Kilińskim został osadzony Chociszewski w więzieniu, potem w Berlinie osądzili go na dwa lata, a teraz siedzi we fortecy w Wisłouściu, milę za Gdańskiem, tam gdzie Wisła wpada do morza Baltyckiego. Za dwa lata dopiero t. j. 1865 r., jeżeli się wprzód nad nim Bóg nie zmiłuje, ma być uwolniony. Dzieci kochane módlcie się za tego, który dla was tę książkę napisał, bo siedzieć w więzieniu jest smutnie i przykro.